

# OBRAZ WALKI KULTURNEJ

W PRUSACH.

1872 — 1886.

147 ~~1539~~

NA TLE WŁASNYCH DOŚWIADCZEŃ

SPISAŁ

X. JÓZEF GRABOWSKI,

EM. PROBOSZCZ SOLECKI.



~~2000~~

1927..R BIBLIOTEKA  
WŁADYSŁAWA--WĘSKI



OBRAZ WALKI, KULTU

POZNAŃ 1918. :: NAKŁADEM I CZCIONKAMI  
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.



47

~~1983~~

OBRAZ WALKI KULTURNEJ W PRUSACH.

Z BIBLIOTEKI  
WŁADYSŁAWA WĘSKIEGO

~~757~~

# OBRAZ WALKI KULTURNEJ

W PRUSACH.

1872 — 1886.



NA TLE WŁASNYCH DOŚWIADCZEŃ

SPISAE

X. JÓZEF GRABOWSKI,

EM. PROBOSZCZ SOLECKI.



~~OBRAZ WALKI KULTURNEJ~~



~~1917..R BIBLIOTEKA  
WŁADYSŁAWA WĘSKIEGO~~

POZNAŃ 1918. :: NAKŁADEM I CZCIONKAMI  
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.

1918



~~1983~~

## PRZEDMOWA.

Już od wielu lat proszono mnie tak ze strony konfratrów duchownych, jako też ze strony osób świeckich o napisanie szkicu walki kulturalnej z lat 1872 do 1886, w której osobisty brałem udział od początku do końca. Dopóki byłem proboszczem w Solcu, powiecie Średzkim, aż do roku 1911, obowiązkami parafialnymi i wieloletnimi pracami około budowy nowego kościoła pochłaniały wszystkie moje czas, tak, iż na wygotowanie opisu walki kulturalnej czasu już nie stało. W roku 1911 po 53 latach pracy kapłańskiej, czując się już słabym, prosiłem Władzę duchowną o emeryturę. Ledwie ją uzyskałem, aliści zapadłem wskutek ciężkiego zaziębienia już przy przeprowadzce ze Solca na zapalenie błon płucnych, z którym walczę dotychczas. Nie dodają mi siły ciężkie przejścia, jakie mam z powodu mej fundacyi zakładu sierot we Wronkach.

Teraz zaś, widząc zbliżający się koniec niezwykle długiego życia, zabieram się wreszcie do pobieżnego skreślenia, o ile siły starczą a pamięć dopisze, przebiegu dziejów walki kulturalnej, w wysokim stopniu ciekawych i zdumiewających co do

cei i sposobów prowadzenia walki na tle kultury dziewiętnastego wieku po Chrystusie — dziejów godnych pamięci u prostaczków i uczonych.

Obok zachęty i życzenia z zewnątrz spowodował mnie do podjęcia tej pracy ten wzgląd, że jak się przekonałem z własnego doświadczenia, wielka nieznajomość rzeczy co do walki kulturalnej panuje, z wyjątkiem chyba najstarszych osób, wśród społeczeństwa naszego. Jedni zaledwie wiedzą, że była jakaś walka kulturalna, a drudzy, nawet już w starszym wieku nie mają najmniejszego wyobrażenia o jej przebiegu. I otóż to główny powód, który mnie skłonił ostatecznie do odnowienia pamięci o walce kulturalnej.



ROZDZIAŁ I.

1983

### Wybuch walki kulturalnej i jej znaczenie.

Już lat 15 pracy kapłańskiej w kilku parafiach miałem poza sobą, gdy mnie wybuch walki kulturalnej zastał jako wikaryusza w Wielkiem Strzelcu pod Gostyniem. W czasie po wyświęceniu mojem na kapłana w roku 1858 aż do walki kulturalnej był tak znaczny nadmiar duchowieństwa w archidiecezjach Gnieźnieńskiej i Poznańskiej, taki brak miejsc do obsadzenia, że Władza duchowna zmuszona była umieszczać wikaryusy u proboszczów, niepotrzebujących pomocnika. W parafiach, w których jako wikaryusz przebywałem, nie było nigdy wakansu bliskiego na probostwo. Nie miałem też znajomości i protekcji u osób wpływowych, ani daru przypodobania się ani też luta szczęścia.

W roku 1870 wybuchła wojna Prus w związku z południowemi krajami Niemiec przeciwko Francji, w której Niemcy sprzymierzone odniosły zwycięstwo, w następstwie tego powstało cesarstwo niemieckie pod hegemonią Prus. Wskutek tego wzrosły Prusy w niesłychaną potęgę i butę, tak, że

niebawem zabrały się do Kościoła katolickiego i żywiołu polskiego. Odbiło się to od razu nawet na misznej posadzie prebendarza w Kościanie.

Byłem ja właśnie od roku 1868 do 1872 prebendarzem przy kaplicy Pana Jezusa, przeznaczonej dla niemieckich katolików w Kościanie. Królewska Rencya zażądała od ówczesnego Księdza Arcybiskupa, aby obsadził tę posadę księdzem narodowości niemieckiej, ponieważ przeznaczoną jest dla gminy niemieckich katolików. Życzeniu temu uczynił ksiądz Arcybiskup zadość, a mnie posłał po 14 latach kapłaństwa na wikaryat do Wielkich Strzelcz pod Gostyniem. Pensya roczna wynosiła 200 talarów z mieszkaniem o jednej izbie z alkierzykiem, a po drugiej stronie sionki zamiast kuchenki gruzy. Reparować nikt nie chciał, proboszcz stołowania odmówił — zebrałem pożywienia kolejno po domach parafian. Nie mogąc też dla braku mieszkania przyjąć do siebie rodziców, których aż dotąd u siebie miałem, błagałem księdza Arcybiskupa przez cały rok, aby mi dał odpowiedniejszą posadę, lecz nie dał, czekając na wynik rozpraw sejmowych w Berlinie o prawach majowych. Dopiero w tydzień po zatwierdzeniu praw majowych otrzymałem dnia 14 czerwca 1873 dokument X. Arcybiskupa, posyłający mnie na wikaryat przy kościele filialnym w Chłodowie. Równocześnie otrzymało kilku innych starszych kapłanów i cała rzesza starszych i co dopiero wyświęconych wikaryuszy wokacye na wakujące posady.

Ksiądz Arcybiskup, który przed walką kulturalną był bardzo dobrze widziany na dworze królewskim i osobistych zażywał względów, przesiedlając tak wielką liczbę księży na nowe posady wbrew prawom majowym, spodziewał się, że król względnie rząd królewski nie będzie mógł przenieść na siebie, aby wykonaniem praw majowych chciał unieszczęśliwić tak wielką liczbę niewinnych przesiedlonych kapłanów. Stało się jednak inaczej wbrew oczekiwaniom X. Arcybiskupa. Wszyscy bowiem przesiedleni i nowo ustanowieni kapłani tem samym, że miejsca przez Władzę duchowną przyjęli i obowiązki duszpasterskie pełnili, zostali przez król. rząd uznani za nieprawnie ustanowionych i podlegających wszelkim karom za każdą czynność duchowną, przez prawa majowe ustanowionym.

Aby zrozumieć istotę walki kulturalnej, dość jest poznać jądro, główną zasadę praw majowych. Jest nią tak nazwane prawo veto, które sobie rząd królewski kazał uchwalić sejmowi pruskiemu w Berlinie, to jest prawo zakazu stanowiącego, że nie wolno Arcybiskupowi względnie Władzy duchownej posyłać lub przenosić na żadną nową posadę czy to jako proboszcza, czy wikaryusza, czy kapelana bez poprzedniego przyzwolenia królewskiego rządu; w przeciwnym bowiem razie, jeżeli się Władza duchowna do tego nie zastosuje, i bez opowiedzenia się na jakąbądź posadę kościelną księdza pośle, każdy taki kapłan będzie uważany przez rząd za nieprawnie ustanowionego, a jeśli będzie wykony-

wał obowiązki duchowne, każda czynność jego, więc każda msza św. przez niego odprawiona każde kazanie, każdy chrzest, każdy ślub, każde odwiedzenie chorych, pogrzeb, słuchanie spowiedzi podpadnie karze pieniężnej lub karze więzienia. Prawa więc majowe wkraczały w dziedzinę prawa zarządu Kościoła katolickiego, który według posłannictwa Bożego a nawet według konstytucyi pruskiego państwa sam jeden ma prawo rozporządzać sługami swymi i kapłanami. A ponieważ żaden Arcypasterz ani w Prusach ani w całych Niemczech praw tych majowych ani uznać ani przyjąć ani do nich zastosować się nie mógł i nie zastosował, a rząd królewski od swoich żądań nie ustąpił, rozpoczęło się wykonywanie, egzekucya praw majowych. Lecz myliłby się, ktoby sądził, że rozpoczęcie walki kulturalnej wywołało wśród społeczeństwa polskiego przerażenie, popłoch lub zwątpienie. Wiedzieliśmy przecie, że walka kulturalna ma na celu nie tylko pozbawienie Kościoła katolickiego wolności, lecz także zgnębienie do reszty narodości polskiej. A jednak, jak przed burzą przez długie godziny gromadzą się i tłoczą powietrze czarne, piorunonośne chmury wśród błyskawic i grzmotu pomruku, a dopiero gdy piorun uderzy i deszcz lunie strumieniem, spieczone upałem rośliny orzeźwi, ożywi — tak też, gdy po przeszło półrocznem kuciu praw majowych w sejmie pruskim piorun praw majowych uderzył, spadły z dusz spragnionych długiego wyczekiwania pęta i lunął strumieniem pociechy Bożej deszcz na spieczone upałem cierpień serca.

Więc rozpoczęła się walka, na którą z zdziwem i przerażeniem patrzyły ziemia i niebiosy, że w wieku dziewiętnastym po Chrystusie mogło się zjawić na świecie tak dziwne widowisko. Na hasło dane do walki powstał nagle wielki szum jakoby duchów walczących w powietrzu, jakoby huk pniących się bałwanów morskich wśród burzy — to okrzyki burzliwe po jednej stronie szeregów rządowego wojska pod chorągwią: „Za wszechmoc państwa-molocha“, a po drugiej stronie nieprzejrzane szeregi prawowiernych synów Polski i całych Niemiec katolickich, w jeden nieprzerwany łańcuch duchem Bożem złączonych, z modlitwą ku niebu na ustach i z hasłem: „Za wolność katolickiego Kościoła“. Więc co prędzej ukazało się zmobilizowane wojsko żandarmów, urzędników, wywiadowców, donosicieli, policyantów i t. p., którzy poszukiwali, śledzili księży przesadzonych na posady po wydaniu praw majowych i stąd majowymi kapłanami zwanych. Śledzono ich w domach, po drogach, w kościołach, czyhano na nich przed kościołem, goniono ich uciekających po drogach, łąkach i rowach, odbywano rewizye u spokojnych mieszkańców; władze śledziły, wywiadywały się u ludzi z blizka i z daleka o pobycie takich księży, ile odprawili mszy św., chrztów, spowiedzi, wizytacyi chorych i t. p., oddając spis tych czynności komisarzom lub prokuratorom królewskim do wytoczenia skargi w sądach karnych, poczem następowały terminy, skazywania księży tułaczy na kary pienięż-

ne i więzienie. Biedni ci księża majowi, bezdomni tułacze bez stałego miejsca, codzień gdzie indziej, jak misjonarze w dzikich krajach odprawiali w domach i chatach msze św., udzielali sakramentów św., odwiedzali chorych, uczyli katechizmu, a to wszystko w skrytości, aby nie popaść w ręce ścigających żandarmów, którym wszakże nie zawsze się udawały łowy. Zdarzało się bowiem często, że misjonarze ci przebierać się musieli jako parobcy w chłopską odzież i przyprawiać sobie wasy, aby nie popaść w pułapkę żandarma, który czatował przed kościołem, przed zakrystią, pewny schwywania księdza, gdy tymczasem ksiądz przebrany za parobka wyszedłszy z zakrystyi, przeszedł obok żandarma niepoznany; niejednokrotnie żandarm spotkawszy przebranego misjonarza, rozmawiał z nim i wypytował, czy nie widział tego właśnie, z którym rozmawia. Tacy majacy znanj byli wśród ludu pod nazwą „wujaszków“.

Dziś, gdy się te dziwadła czyta lub słyszy, zdają się niepodobnemi do uwierzenia. Na opisywanie wszystkich podobnych objawów walki kulturnej nie pozwala mi rozmiar zamierzonego pobieżnego szkicu. W dalszym ciągu przeto pisać będę prawie wyłącznie o wypadkach na tle własnego współdziałania we walce kulturnej.

## ROZDZIAŁ II.

### Na wikaryacie w Chłudowie.

Po rocznym pobycie na wikaryacie w Wielkiem Strzelczu pospieszyłem wskutek wokacyi księdza Arcybiskupa z dnia 14 czerwca 1873 na posadę z „wyższym awansem“ jako wikaryusz do Chłudowa w powiecie Poznańskim położonego. Kościół Chłudowski jest filią kościoła parafialnego w Owińskach, podwładnym zarządowi tamtejszego proboszcza. Dziedzicem Chłudowa był naonczas p. Treskow, na którego dobrach zahipotekowaną była pensya na utrzymanie wikaryusza chłudowskiego w sumie 200 talarów. Ponieważ w sąsiedniej parafii Maniewa probostwo nie mogło być obsadzone z powodu braku kościoła i mieszkania dla proboszcza, nałożono wikaryuszowi w Chłudowie wykonywanie duszpasterstwa także w parafii Maniewskiej, której dochody pobierał X. Dziekan w Obornikach jako komendarz, tak, iż stamtąd miałem dochodu tyle, co nic, oprócz jakiego akcydensu za chrzest albo pogrzeb nieprawny. Chociaż mieszkanie w Chłudowie, aczkolwiek dosyć opustoszałe, lecz do pomieszczenia śp. matki mojej i ojczyma od biedy wy-



starczało, nie mogłem matki wziąć do siebie, ponieważ niepodobieństwem było urządzić domowe gospodarstwo. Urządziłem się więc o ile możności wspaniale: Kazałem ojczymowi mojemu, przywieźć od matki mojej, mieszkającej od roku we Wronkach wskutek translokacyi mojej z Kościana do Wielkiego Strzelcza, kilka garnków, talerzy, misek, filiżanek i t. p. jako garnitur do umeblowania mojej kuchni, do którego dołączyłem przywiezione z sobą meble z Wielkiego Strzelcza, składające się ze starego łóżka, takiegoż stołu, dwóch drzewianych stołków, takiegoż stołu, kuferka podróżnego, brewiarza, rewerendy i pościeli. Do inspekcji i zarządu tego wszystkiego poprosiłem ojczyma mego z nadaniem mu następujących urzędów: kuchmistrza, ogrodnika, lokaja, pokojówki i do wszystkich innych potrzeb, i oprzątaacza krowy, którą kupiłem w Obornikach na jarmarku, potrzebując koniecznie mleka do zdrowia i życia. Tak urządziwszy się stanąłem do walki z prawami majowemi jako najpierwszy i najstarszy żołnierz w szeregu pierwszego powołania kilkudziesięciu nowowyświęconych i kilkunastu starszych „majaków“, z których tu wspomnę dwóch więcej mi znanych, to jest X. R., proboszcza z Kędzierzyna, następcę mego w Wielkim Strzelczu, i przezacnego, bezpośredniego poprzednika mego w Chłudowie, X. Barcikowskiego.

Zaledwie kilka tygodni minęło, aliści rozpoczęli ukazywać się w Chłudowie żandarmi i wywiadywali się, począwszy od sołtysa i nauczyciela, który

był zarazem organistą, od gospodarzy aż do dzieci, co ksiądz wikary porabia, ile i kiedy odprawił mszy św., ile powiedział kazań, czy był też u chorych, ile odbył pogrzebów, a ile wysłuchał spowiedzi osób i jak się nazywają. Był też u mnie z wizytą komisarz kilka razy, a ponieważ mnie nie zastał w domu, zapozwał mnie nawet na termin do siebie z zagrożeniem kary, gdybym się dobrowolnie nie stawił. Nie dosyć było na tem. Oprócz bowiem powyższych częstych gości przybył też po niejakiem czasie do Chłudowa radca ziemiański v. Massenbach z Poznania, zapozwawszy poprzednio parafian chłudowskich na wiec w dniu oznaczonym, odbyć się mający na podwórzu dominialnem w sprawie duszpasterza. Zgromadzili się więc na przepisana godzinę parafianie na dominialnem podwórzu tuż przed pałacem dziedzica v. Treskowa, gdzie stał już stół z krzesłami a na stole do spisania protokołu potrzeby. Zajechał niebawem przed pałac radca ziemiański p. Massenbach z Poznania i zwróciwszy się do parafian licznie zgromadzonych, miał do nich przydłuższą przemowę, w której zapoznał ich z odnośnem prawem majowem, które przepisuje, aby każde ustanowienie nowe księdza przez Biskupa na jakąbądź posadę duchowną działo się po poprzedniem zawiadomieniu o tem królewskiej rejencji i po poprzedniem tejsze przyzwoleniu, której jako najwyższej władzy w państwie przysługuje to prawo i któremu każdy poddać się musi.

„Tymczasem wy parafianie chłudowscy, — tak

mówił pan radca — macie tu księdza, który podług tego prawa nie jest tu ustanowiony, bo jest tu bez zawiadomienia władzy królewskiej i też przyzwolenia; ustanowienie więc tego księdza jest nieważne i wszystkie jego czynności kościelne są nieprawne, bo wykonane przeciwko prawu państwowemu i jako takie są karygodne.

Wzywam was przeto, abyście oświadczyli, że księdza obecnego jako nieprawnie ustanowionego mieć nie chcecie i na dowód tego podpisali przedłożony wam protokół.“

Parafianie, pokiawszy głową na dwie strony, odpowiedzieli: „My parafianie przeciwko przysłanemu nam przez Biskupa księdzu nic nie mamy, z księdza naszego jesteśmy zadowoleni i mieć go chcemy a protokołu innego nie podpiszemy“.

I pokłoniwszy się landratowi, zostawili go samego i gromadnie do domów swoich odeszli. Dzieńdzic v. Treskow, ponieważ to się działo latem, przysłuchiwał się i przypatrywał tej scenie w otwartym oknie i śmiał się serdecznie.

Po tej wizycie radcy ziemiańskiego odbywały się w dalszym ciągu wizyty żandarmów, wywiady ich w parafii, których rezultat przesłano komisarzowi a następnie królewskiej prokuratury.

### ROZDZIAŁ III.

#### Mój pierwszy proces.

Już dnia 29 sierpnia 1873 przesłał król. prokurator sądowi karnemu w Poznaniu skargę przeciwko wikaryuszowi X. Grabowskiemu w Chłudowie o nieprawne wykonywanie obowiązków duszpasterskich, którą uzupełnił nową z dnia 9 września. Następują 4 zapozwy: z dnia 11 i 22 września, 7 i 29 listopada na termin 9 g r u d n i a, który ogłosiły kilka dni naprzód wszystkie czasopisma polskie i niemieckie.

Dnia 9 grudnia o godzinie 11 przed południem sala sądowa, przyległe ubikacye i schody wypełniała ciekawa publiczność, ponieważ to był pierwszy strzał rozpoczynającej się walki, stawili się też reporterzy gazet w komplecie. Stałem więc jako najpierwszy i najstarszy z nowo przesiedlonych kapłanów żołnierz przed kratami karnego sądu i na strzał dany przez król. prokuratora jako oskarżyciela odpowiedziałem w obronie mej niewinności strzałem, którego echo odbiło się w mowie mojej obronnej, którą tu osobno załączam...



Po zwyczajnych w każdym procesie pytaniach i odpowiedziach co do osoby oskarżonego prosiłem przewodniczącego sędziego, aby nie odczytywano wcale rejestru moich przestępstw, które z góry przyznaję z dodatkiem, że wykonałem tych samych przestępstw kilkakrotnie więcej, aniżeli napisano, a mimo to udowodnię zaraz, że jestem niewinny. I wygłosiłem długą mowę obronną, której wysłuchano wśród grobowej ciszy. Taki był tekst tej mowy <sup>1)</sup>.

### Wysokie Kolegium!

Do czynów w oskarżeniu królewskiej prokuratorzy z dnia 11 września, 9 i 27 listopada i 3 grudnia r. b. przeciwko mnie przytoczonych przyznaję się, lecz bynajmniej do winy. Zaraz wypowiem mej niewinności dowody, których łaskawie wysłuchać proszę.

Odpowiedź na jedno tylko pytanie jest już wystarczającą do rozwiązania postawionej co dopiero przeze mnie zagadki, a pytanie to brzmi: „Czy państwo pruskie uznaje istnienie Władzy duchownej wogóle a w szczególności czy uznaje Arcybiskupa poznańskiego jako duchownego zwierzchnika w stosunku do niższego duchowieństwa jego dyecezyi, czy nie? Jeżeli rząd królewski da potakującą odpowiedź, co żadnej nie podlega wedle istniejących praw krajowych wątpliwości, natenczas musi uznać

<sup>1)</sup> Podał tę mowę w dosłownem brzmieniu „Dziennik Poznański“ z dnia 11 grudnia 1873.

także logiczny stosunek podwładnego do swego zwierzchnika, a stosunek ten polega po jednej stronie na prawie rozkazywania, po drugiej zaś na obowiązku słuchania, albowiem zwierzchnik, generał bez prawa rozkazu, a podwładny, żołnierz bez obowiązku posłuszeństwa jest absolutnie niedorzecznością — absurdum. — Czegoś podobnego zapewne ani prawo, ani to wysokie kolegium ode mnie żądać nie będzie mogło.

A ten tu właśnie dokument (X. G. pokazuje pismo Władzy duchownej) dowodzi, że od X. Arcybiskupa, jako mego duchownego zwierzchnika odebrałem misję do Chłudowa z rozkazem sprawowania tamże obowiązków pasterskich.

Ośm razy przesadzała mnie już przedtem Władza duchowna a nikt przeciwko pielgrzymce mojej nie protestował, dlaczegożbym więc przy razie dziewiątym miał być nieposłusznym, zwłaszcza, że opór mój byłby się skończył eksmisją.

Choć jako wierny poddany państwa w sprawach świeckich tylko rozporządzeniom królewskiego rządu posłusznym być jestem gotów, wszakże w rzeczach czysto kościelnych, jak to już logiczny stosunek wyżej udowodnił, X. Arcybiskupowi jako memu przełożonemu duchownemu posłuszeństwo winienem. Że zaś nic więcej nie uczyniłem nad odprawienie nabożeństwa i wydzielanie sakramentów św., co przecież czysto kościelną — co mówię — boską jest rzeczą — a do czego według pruskiego prawa krajowego sama już ordynacja biskupia na-

daje mi prawo — o tem świadczy sam akt oskarżenia królewskiej prokuratury.

Wszakże oprócz zwyczajnego obowiązku posłuszeństwa jest jeszcze coś ważniejszego, co mnie do posłuszeństwa X. Arcybiskupowi zmusza a tem jest wyraźna, uroczysta przysięga posłuszeństwa, którą biskupowi przed odebraniem święcenia kapłańskiego złożyłem, o czem wysokie kolegium z odnośnego rytuału każdej chwili przekonać się może. Ponieważ zaś od tejsze przysięgi aż dotąd nie zostałem zwolniony, przeto ani państwo ani prawo żądać ode mnie nie może krzywoprzysięstwa lub złamania przysięgi, zwłaszcza że prawo same ściga ten czyn tak niemoralny najsurowszemi karami. A choćby nawet państwo mej wiarołomności obecnie wyjątkowo nie ukarało, jakżeby przed trzódką mej pasterskiej pieczy powierzona stał jak oszukaniec, który ją pilnie pouczał, że nie tylko cesarzowi, co jest cesarskiego, lecz także Bogu, co jest Boskiego oddawać a nie tylko świeckiej, lecz także duchownej zwierzchności posłusznym być trzeba, bo obie władze są postanowione od Boga.

Przypuśćmy jednakże, żebym niepomny na przysięgę wypowiedział posłuszeństwo X. Arcybiskupowi i w Chludowie żadnych nie wypełniał funkcji kapłańskiej, jako to król. rząd sobie życzy. Skutkiem tego byłaby bezzwłoczna suspensa moja przez X. Arcybiskupa, pozbawiająca mnie urzędu i dochodów, że już inne kary kościelne pominię.

Ale i rząd królewski wzgl. prawo majowe na-

wet i w takim przypadku odsądza mnie od urzędu i dochodów: każe mi nie chrzczyć, nie chować zmarłych, mszy św. nie odprawiać, daje mi paszport i każe z głodu umierać.

Jeżeli zaś słucham X. Arcybiskupa, pełniąc obowiązki, to znowu rząd ściga mnie aresztowaniem dochodów, karami pieniężnymi wzgl. więzieniem.

Czy więc słucham rządu, czy nie — czy słucham Arcybiskupa, czy nie, w każdym razie jestem bity. Wszakże to nawet złodziejowi prawo pozostawia wolność, że może ująć kary, jeżeli nie kradnie — dla samego tylko kapłana katolickiego nie ma wcale wyjścia, on koniecznie karany być musi, bądź to od duchownej, bądź to od świeckiej zwierzchności, bądź też od obydwóch razem. Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe. Nie jestże to fatalizm wcielony?

Jeżeli tedy już koniecznie mam być na śmierć głodową skazany, to przynajmniej ocalę sobie czyste sumienie i honor wiernego żołnierza Kościoła.

Lecz i wtenczas, gdyby rząd królewski na prawa majowe nie bacząc, wbrew Arcybiskupiej suspensie pensyę miejscową pobierać mi pozwolił, jakże mógłbym płacę niewysłuzoną w spokoju spożywać, odmawiając wiernym posługi i przypatrując się obojętnie, jak dzieci bez chrztu, dorośli bez duchownej pociechy i pomocy umierają albo w dziekiem żyją małżeństwie a zmarli pozbawieni kościelnego pogrzebu. Bo niech to wysokiemu Kolegium wiadomem będzie, że żaden kapłan pod uniknieniem

kar surowych kościelnych nie poważy się żadnej w parafii chludowskiej sprawować funkcji duchownej, dopóki ja się tamże na wolnej znajduję stopie.

Zresztą kapłanowi katolickiemu pełnienia funkcji duchownych zakazać, od ołtarza i mszy św. pół roku, albo co gorsza, na czas nieograniczony wstrzymać jest to samo, co ptakowi powietrza a rybie wody wzbronić, bo te czynności z jego niezmałym charakterem, z jego naturą, jego sumieniem, z jego życiem są zrosłe.

Nawet owe piękne widoki, wedle których państwo kapłana prawom majowym posłusznego broniliby przeciwko pociskom X. Arcybiskupa — co więcej najlepszą nagrodziłoby go w przyszłości posiadłość, nic tu pomódz nie mogą. Na nic przydałaby mi się posiadłość wbrew woli arcybiskupiej przez rząd mi nadana, na nic podtrzymywanie mnie na niej przemocą bagnetów, bo lud katolicki, zwłaszcza polski, od liberalizmu daleki, aniby chciał aniby mógł pod karą klątwy kościelnej na nabożeństwo moje uczęszczać — przeciwnie lud ten mnąby pogardzał, obrzuciłby mnie błotem — a ja nie wszedłszy drzwiami, któremi jest biskup, lecz kędy indziej do owczarni, byłbym wilkiem i złodziejem wedle słów Zbawiciela. Musiałbym chyba wprost odpaść od mego Kościoła i t. z. starokatolikiem zostać — a żądać czegoś, co równa się wyparciu czci i wiary, co znowu z powagą państwa nie byłoby zgodnym.

Jeszcze jedną okoliczność podnieść sobie pozwolę. Już w czerwcu r. 1858 wyświęcony zosta-

łem na kapłana. Po 16 latach nieprzerwanej pracy, poświęciwszy kwiat życia i zdrowie moje służbie Kościoła w ofierze, obdarzony zostałem, nic karygodnego w kapłańskim zawodzie nie popełniwszy, posiadłość wikaryuszowską i to jedną z najniezbędniejszych w Chludowie, której dochody składają 200 talarów rocznej pensji i 10 sążni drzewa opałowego. A jeżeli mimo to wobec tak nienaturalnego zjawiska i nad miarę nędznego bytu przeciw Arcybiskupowi memu oporu nie stawiam, to musi zaprawdę coś innego być, jak osobiste przywiązanie i wdzięczności uczucie, co mnie w posłuszeństwie trzyma. Panowie! Okoliczność powyższą nie na to wszakże przywiódłem, abym tu chciał Władzę duchowną oskarżać, lecz aby wam tem bardziej unaocznili niemożliwość tego, czego rząd ode mnie wymaga. W dozwolonych atoli rzeczach gotów jestem posunąć się aż do granic ostatecznych i ustępstw i dlatego oświadczam niniejszem, że gdybym już zgoła nie miał być stosownym dla Chludowa, zrzekłbym się go chętnie, przyjmując natomiast posiadłość królewskiego patronatu od rządu z wdzięcznością i postarałbym się o zatwierdzenie biskupie.

Panowie! 16 lat byłem uznany przez państwo jako ważny kapłan w urzędzie na rozmaitych posiadłościach i w rozmaitym charakterze, już to jako wikaryusz, już to jako kapelan przy domu poprawy w Kościanie, już to przez lat sześć jako prebendarz i niemiecki kaznodzieja tamże, już to jako proboszcz i inspektor szkoły w Nösckowie. Władze królewskie ko-

respondowały ze mną w urzędowych sprawach i także przyjmowały ode mnie z ksiąg kościelnych świadectwa; co mówię, rząd królewski w osobie ówczesnego naczelnego prezesa v. Horna już w roku 1864 ofiarował mi piśmiennie probostwo rządowe, któremu jednak nie przyjął — aż oto teraz, choć przeciw państwu nic nie zawińem, przestaje ono nagle mnie za ważnego kapłana uznawać, odbiera mi posadę, mój chleb, obkłada przez królewskiego radcę ziemiańskiego z Poznania mą pensyę i drzewo aresztem, nie czekając nawet sądowego wyroku i ściga mnie aż tu przed kratki.

Panowie! Tutaj już mój rozum ustaje, tu już sprawiedliwości pojęcie tracę, bo dotychczas sądziłem, że niesprawiedliwym być wedle chrześcijańskiej moralności nikomu, nawet najpotężniejszemu państwu być nie wolno. Zaprawdę! 16-letni mój urząd i tyloletnie uznawanie mnie w państwie pruskiem dają mi niezaprzeczone a uczciwie nabyte prawo do posady i utrzymania życia. Któreż bowiem sprawiedliwe prawo może żądać ode mnie, abym niezasłużony wyrok na śmierć głodową podpisał, dobrowolnie mojej posady i moich obowiązków duchownych się wyrzekł i umarł z głodu... Panowie! Nauka moralności chrześcijańskiej pozwala nawet kraść, i to bez grzechu w niebezpieczeństwie śmierci głodowej, a mnie nie miałoby być wolno mego, że tak się wyrażę, duchownego rzemiosła prowadzić, abym sobie poczciwie na chleb zapracował i nie umarł z głodu?... Panowie! Prawo

majowe każe mi iść sobie z Panem Bogiem. Łatwo rozkazać, ale trudno wykonać. Kopać bowiem nie umiem i nie odpowiadałoby to godności mego stanu, żebrać się wstydzę, przez co zresztą naraziłbym się na wizytę w domu poprawy w Kościanie; kraść mi nie wolno, nie chcąc być zmuszonym do stawienia się także przed temi tu kratkami... Że od ducha oporu przeciw państwu i jego prawom jestem daleki, mógłby królewski radca ziemiański baron v. Massenbach najlepiej poświadczyć, lecz i ten nawet dowód jest zbyt słabym, gdyż już osobiste stawienie się moje tutaj na termin prawdziwość mego twierdzenia mocno poświadcza.

Lecz nawet wszystkie przeciwko mnie przywiezione tu oskarżenia królewskiej prokuratoryi nie moją obciążają osobę, lecz raczej X. Arcybiskupa, że o mej translokacyi nie zawiadomił królewskiego rządu. Nie potrzebuję doprawdy dowodzić, że jestem zbyt słabym, abym X. Arcybiskupa do odmiennego mógł postępowania nakłonić, gdy nawet rząd królewski tego dokazać nie zdołał.

Panowie, wy wiecie dobrze, że tu chodzi o konflikt władz: duchownej i świeckiej, że to walka o zasady. Cóż tam poddani mają do czynienia? Niczego przecież zgola nie żądają prawa majowe od prostego kapłana, przez coby ująć mógł fatalnemu położeniu i niezasłużonej karze. Niech przeto tylko władze rzecz między sobą załatwią, a podwładni chętnie będą powolni. Dopóki się bowiem dwóch panów swarzy, a każdy z nich wręcz przeciwnych rzeczy

wymaga, sługa żadną miarą obydwóch zadowolić nie może.

Otóż widzicie, Panowie, że nic innego uczynić nie mogłem, jak to, com uczynił i że na dowód tego przytoczyłem tylko znane i niezaprzeczone fakta. — Stosunek mój do X. Arcybiskupa jako do mego duchownego Zwierzchnika, charakter czysto kościelny pełnionych przeze mnie funkcji, jako też charakter mój własny jako katolickiego kapłana, przysięga mnie wiążąca, sumienie, mój honor, moja wiara, nawet praktyczne względy chleba, moje uczciwie wysłużone prawo do posady, pociąg naturalny do utrzymania życia, absolutnie niewykonalne i ze sprawiedliwością niezgodne konsekwencye logiczne mającego prawa, wszystkie te względy nakazywały mi takie, a nie inne zachowanie się moje i od wszelkiej uwalniają mnie winy. Obyście i wy, Panowie, przyklasnęli tym silnym i prawdziwym powodom i według praw wiecznej, żadną namiętnością nie zaćmionej prawdy osądzili mą sprawę. Tyle wiem wszakże na pewno, że, choćbyście wbrew memu oczekiwaniu nawet na karę skazać mnie mieli, to przecież w sercu waszem większą cześć dla mnie zachowacie a nawet za wierniejszego poddanego państwa uważać mnie będziecie, jak tego, który przysięgę i wierność łamiąc swej duchownej władzy, przy danej sposobności z równą łatwością staje się zdrajcą państwa, z jaką się stał Kościoła. —

Nie! panowie, wy nie możecie mnie za winnego uznać, wy mnie uwolnicie! Skończyłem.“

Po skończonej obronie X. Grabowskiego — tak pisze Dziennik Poznański w sprawozdaniu z procesu — dowodził królewski prokurator v. Dressler w przydłużonej mowie, że wywody X. Grabowskiego są osobistej, nie zaś obiektywnej natury i nie zgadzają się z rozumem, ponieważ ksiądz jest tylko urzędnikiem państwa i nie ma prawa do żadnych przywilejów i do praw państwa stosować się zobowiązany. Mowa ta nie osobliwsze zrobiła wrażenie po argumentach X. Grabowskiego i nie przekonała nikogo. Dalej zwracał król. prokurator uwagę kolegium sądowego, że za każdą czynność z osobna stu talarami skarcieć powinna, że jednak tymczasem żąda ogólnej kary stu talarów albo 6 tygodni więzienia. X. Grabowski w krótkich słowach replikował na mowę król. prokuratora i podniósł tylko, że nie ma zamiaru wdawać się w kwestyę, czy po stronie prawa mającego, czy po stronie kościelnej władzy jest słuszność, lecz że zaznaczyć musi najzupełniejszą zgodność wywodów swoich z rozumem ludzkim, i że, pominąwszy obowiązek posłuszeństwa dla władzy duchownej, żadne prawo nie może niesprawiedliwie pozbawiać kapłana, 16 lat pracującego, chleba, gdy ze swej strony nic nie zawinił i wymagać rzeczy niepodobnych i że wywody jego dla każdego bezstronnego wystarczą.

Po mowie kolegium, składające się z trzech sędziów: p. Grossa, jako przewodniczącego, Schmidta i Potworowskiego udało się do przyległego pokoju, a po krótkiej naradzie, ogłosiło przez

usta przewodniczącego, p. Grossa, w y r o k u w a l n i a j ą c y mnie od winy i kary.

Zagrzmiała sala i wszystkie zakątki od oklasków i radości — pokłoniłem się sędziom i ledwie się wysunął wśród powinszowań ze sali, porwało mnie kilku panów gwałtem na ochłodę do winiarni Andersza na Starym Rynku „pod daszkiem”. Nie pomnę już po 44 latach nazwisk tych panów, z których przypominam sobie dobrze ojca ówczesnego proboszcza z Boruszyna.

Był to pierwszy i ostatni wyrok uwalniający podczas walki kulturalnej nie tylko w Księstwie lecz i w całych Niemczech. Na drugi dzień ogłosiły moją obronę wszystkie polskie i niemieckie gazety, następnie Germania, gazeta kolońska, w całych Niemczech i dalej. Otrzymywałem liczne ustne i piśmienne, mianowicie z Nadrenii, Kolonii, Trewiru, Antwerpii, nawet z Ameryki powinszowania. Poseł Dasbach z Trewiru zapraszał mnie na członka wydawnictwa w sprawie walki kulturalnej i t. d.

Niech nikt nie sądzi, abym o tem wspominał dla własnej chwały, którą gardzę. Jeżeli powiem więcej, że mowa ta obronna zrobiła wśród całego społeczeństwa bez różnicy narodowości a nawet wyznania piorunujące wrażenie, to może więcej przyczyniły się i złożyły na takie wrażenie towarzyszące jej okoliczności. Proszę sobie wyobrazić to niezmiernie naprężenie umysłów podczas przeszło półrocznych rozpraw nad ustawami majowemi. Z jednej strony poplecznicy królewskiego rządu, bę-

dący w większości, a z drugiej strony tacy genialni mówcy jak Windhorst, Mallinkrodt, Szorlemer Alst, oraz znakomici polscy mówcy, którzy taranami wymowy swej i prawdy odwiecznej i sprawiedliwości rozbijali w puch zakusy tak zgubnego dla Kościoła i państwa przewrotu. Oprócz tego trzeba sobie wyobrazić, że nie o bagatelną chodziło tu rzecz, lecz o rzecz fundamentalną tak potężnej, tak niezmiernej wagi i znaczenia, że nic innego na świecie porównać się z nią nie da, bo wynikiem rozwiązania jej była tylko alternatywa: albo pokój w słońcu prawdy i wolności, albo pęta nałożone duchowi i światłu, a w przewrocie brutalnej przemocy społeczeństwa zguba. Ogromna większość, nie mówię już katolickiego, lecz i protestanckiego, a nawet żydowskiego społeczeństwa była usposobiona przeciwko prawom majowym. Wiem przetoż z własnego doświadczenia, jak wielką radość wywołał wyrok w wszystkich warstwach, z małym wyjątkiem, jak gdyby kamień spadł z serca — żyłem przecież wśród ludzi i to nie tylko jako ukryty obserwator — miałem sposobność mówienia i słyszenia opinii Niemców i protestantów inteligentnych.

Między innymi sposobnościami zdarzyło się, że byłem w matki mej interesie majątkowym u znanego niemieckiego adwokata Orglera w Poznaniu, który po przedstawieniu się mojem wyrażał podziw dla prawniczego talentu mego i radość z powodu treści mej mowy. O jakże inne były w porównaniu z obecnymi czasy, przed wybuchem walki kulturalnej. Nie



było wtenczas jeszcze tak wielkiej nienawiści rasowej, było bardzo wielu szlachetnie myślących Niemców. Dziś zdawałoby się nieprawdopodobnem, co teraz powiem, że ten sam sędzia, który w pierwszej instancji sądu karnego przeczytał mi wyrok uwalniający a później w tej sprawie zmuszony był mnie skazać na kary, zawsze, przedtem i potem, ilekroć mnie spotkał na ulicy, z daleka mi się kłaniał pierwszy.

## ROZDZIAŁ IV.

### Dalsze procesy.

Niestety, niema nic wiecznego, długotrwałego na świecie, a ze wszystkich rzeczy i objawów życia ludzkiego najmniej długotrwałą jest radość. To też niedługo trwała radość z powodu sprawiedliwego wyroku, albowiem już po 2½ miesięcznej przerwie, to jest 25 lutego 1874 r. otrzymałem ze sądu apelacyjnego w Poznaniu zawiadomienie, że prokurator przeciwko wyrokowi sądowemu z dnia 9 grudnia 1873 wniósł do sądu apelacyjnego kryminalnego apelację, wyznaczając zarazem termin na 2 marca. — Następnie dnia 25 lutego, został termin odroczony wskutek mego wniosku, poczem ostatecznie zapozwem z dnia 3 marca wyznaczono go na 30 marca 1874.

Gdy na pierwszy termin na dzień 9 grudnia wyznaczony otrzymałem zapozew sądu karnego pierwszej instancji, nie kłopotalem się wcale o obronę, i ani nie pomyślałem o tem, aby się kogo poradzić albo o zastępstwo prosić — postanowiłem z góry, że sam się bronić będę; nie widziałem też w wykonaniu żadnej trudności. Sposób bowiem obrony

przedstawiał mi się jasno. Walczyć przeciwko wydaniu, istnieniu praw majowych, byłoby młóceniem słomy; zaprzeczyć ich istnieniu, albo tłumaczyć się ich niezrozumieniem, byłoby niedorzecznością; wyklądać szczegółowo i obszernie prawa Kościoła, jak sobie redakcyja Kuryera Poznańskiego z dnia 11 grudnia 1873 życzyła, lub głosić tyrady przeciwko rządowi, nie tylkoby obronie nic nie pomogło, lecz, drażniąc rząd ewentl. większość sejmu niepotrzebnie, skazałoby obronę z góry na fiasko. Chodziło tu przecież głównie o obronę niewinności prześladowanego niewinnie za pełnienie obowiązków kapłana. Natomiast pozostał środek jedyny a niewątpliwie praktyczny i skuteczny, to jest wziąć w obroty prawo samo, jego istotę, i odbyć na niem sekcyę nożem zasad sprawiedliwości i prawdy ludzkiej i Bożej, zdrowego rozumu i logiki, wykazaniem okrucieństwa i przewrotnego wymierzania kar notorycznie niewinnym i postawienie podsądnego w położenie: że, czy jednego, czy drugiego pana słuchać będzie, w każdym razie karany będzie; odejmuje mu się sposób ujęcia kary, dekretuje się z góry zgubę niewinnego a w ten sposób wykazuje się jasno, że takie prawo to bezprawie, które przecież wedle nawet pojęć ludzkich sprawiedliwych wyroków wydawać nie może. Takimi więc argumentami po chłopsku opatrzyłem swoją obronę, i udała się — wygrałem wolność od winy i kary, przyczem trzeba też oddać uznanie sprawiedliwości wysokiemu kolegium sę-

dziów pierwszej instancyi, że słowa prawdy na serca sprawiedliwe padły. Specyjalną obronę praw Kościoła głosiły w sejmie pruskim usta takich genialnych mówców, jak Windhorsty, Schorlemery, Malinkrodoty, Niegolewscy, Stablewscy i wielu innych posłów polskich, a jeżeli oni nic nie wskórali, ani sam Pan Bóg nic nie wskórał przeciwko złej woli, to cóżbym ja prostaczek mógł być dogmatyczną obroną coś więcej wskórać! Znać dobrze prawa katolickiego Kościoła ci, co prawa majowe kuli, tak jak katolicycy posłowie, zwłaszcza, że są tak proste, tak jasne, że je prostaczek rozumie; lecz ich znać nie chcieli, jak uczy Pismo św., „że światło prawdziwe oświeca każdego człowieka... że światło oświeca ciemności, lecz ciemności nie przyjęły go“.

Taka więc obrona moja wystarczała na pierwszym terminie, lecz gdy przyszło bronić się w apelacyjnym sądzie, tam już takie argumenta na nic się przydać nie mogły, bo tam rzecz się będzie rozchodziła o odpowiedź na pytanie: Czy przyznajesz istnienie prawa majowego „veto“ względnie czyś je przestąpił, czy nie? A jeśli istnienia prawa tego zaprzeczyć nie możesz a do przestąpienia go przyznać się musisz, jesteś winnym kary. A odwoływać się na istnienie praw Kościoła katolickiego, żał się mocny Boże, na sejmie o tem ani słuchać nie chcą, wołają na wszystkie strony: „nad Kościołem państwo“. Tak rzecz rozważywszy, postanowiłem udać się do adwokata i prosić go o przyjęcie mej obrony w termi-

nie oznaczonym, chociaż nie miałem żadnej nadziei pomyślnego skutku; poszedłem jednak dla mej spokojności.

Żył naonczas wielkiej sławy zażywający adwokat Szuman, pomnę nawet jego mieszkanie na Jezuickiej ulicy. Więc spisawszy sobie na karcie to, co bym ja mógł jeszcze, choć bez nadziei skutku, w drugim terminie w sądzie apelacyjnym powiedzieć, gdyby adwokat mej prośbie odmówił i ja sam bronićbym się musiał, poszedłem do niego. Gdym mu oświadczył, w jakiej sprawie przybywam prosić go o zastępstwo w terminie sądowym, zmierzył mnie oczami od stóp do głowy i zapytał:

— Czy to Ksiądz Dobrodziej jest tym, którego mowę przed sądem karnym w Poznaniu czytałem?

A gdym mu odpowiedział: „Ten sam, do usług“, cofnął się parę kroków w tył z podziwu i rzekł:

— Bo ja, uważa Ksiądz Dobrodziej, gdym tę obronę czytał, nie mogłem wyjść z podziwu, aby ktoś, nie będąc prawnikiem, mógł posiadać tyle prawniczego talentu, ile w tej mowie znalazłem, i muszę ci oświadczyć, żeś się całkiem w wyborze twego zawodu pomylił, bo, gdybyś był prawnikiem, byłbyś zrobił najświetniejszą karierę (co wtenczas było jeszcze możliwem), oprócz tego miałem wtenczas to wrażenie, że mówca musi być jaki olbrzym, a teraz widzę, że to taki... mizerak.

Następnie podałem adwokatowi spisane swoje uwagi, po których przeczytaniu odpowiedział:

— A teraz co do rzeczy oświadczam ze żalem, że chętniebym Księdzu Dobrodziejowi służył mojem zastępstwem w terminie, wszakże uczynienie zadość jego prośbie nie tylko pozostałoby bez pomyślnego skutku, lecz jeszcze pogorszyłoby sprawę. Otóż podam tego powody, odnoszące się tak do mojej, jak do jego osoby, które z pewnością uznasz za słuszne. Co do mojej osoby ze względu na stanowisko moje jako urzędnika państwowego i obrońcy prawa (czy to słusznego czy niesłusznego) walka moja przeciw bądź co bądź istniejącemu prawu wywołałaby u rządu i popleczników jego największe oburzenie, mimo którego, choćbym poświęcił moją osobę, obrona moja nieby nie pomogła, przeciwnie jeszcze większe odium padłoby na sprawę. A co do osoby Księdza Dobrodzieja, to względ na to, że Go uważają za niepoprawnego przestępcę, który śmie jeszcze się nadal bronić przy pomocy adwokata, nie wpłynąłby na wyrok łagodzący. A co do notatek swoich, które mi Ksiądz Dobrodziej podałeś, takowe są tak wystarczające, że ponad nie coś więcej ważnego nie mógłbym prawie dodać — wszakże przy dalszej rozprawie może jeszcze parę uwag przyśle, choć nie pomogą żadne. Na termin przybyć nie mogę — a zatem Ksiądz Dobrodziej w terminie musisz bronić się sam.

Adwokat przyobiecane kilka uwag swoich przesłał wprost sądowi jako replikę nieuzasadnionego wniosku apelacji prokuratora, poczem sąd apelacyjny w zapozwie swoim na termin w dniu 30 marca 1874 r. zawiadomił mnie pismem z dnia 3 marca:

„Adwokat Szuman w miejscu zrzekł się dalszej obrony w tej sprawie“.

Stawiłem się więc na termin sam. Na sali sądowej zgromadziła się liczna publiczność. Do obrony mojej nazbierałem jeszcze wiele nowych uwag, zdolnych poruszyć do współczucia i kamienne serca. To też podczas mowy mojej, a była nie krótka, widziałem na twarzach sędziów, których było siedmiu, widocznie przygnębienie i litość, toż samo i na słuchaczach. Sam jedyny prokurator, stanowiący wyjątek, nie tylko nie podzielał nastroju słuchaczy i sędziów, nie tylko potępił mnie w najbezwzględniejszy sposób, po skończonej mej mowie, nie tylko występował gromko przeciwko sędziom pierwszej instancyi za uwolnienie mnie od winy i kary, lecz także w dosadnich aluzyach zwracał się z upomnieniem do apelacyjnego senatu, aby nie poszedł za przykładem wyroku pierwszej instancyi z dnia 9 grudnia 1873, lecz surowo osądził mnie na najwyższą karę stu talarów względnie odpowiednie więzienie. Dziwił się też, jak mogli sędziowie pierwszej instancyi wbrew swemu stanowi i obowiązкови i jako obrońcy prawa wydać wyrok uwalniający przestępcę, który sam przyznał się do winy i dziś tłumaczy się nie należącymi do rzeczy wybiegami, musi on dziś być skazany na karę, ponieważ wielu takich samych, jak dzisiejszy podsądny, odwołują się na wyrok pierwszej instancyi, przez co się wymiar kary dla nich opóźnia, więc stan ten dzisiaj wyrokiem usunięty być musi.

Oto brzmienie mowy, którą wygłosiłem przed izbą apelacyjną w Poznaniu dnia 30 marca 1874.

### Wysokie Kolegium!

Że wytoczona przeciwko mnie skarga nie jest usprawiedliwioną, uznał to już królewski sąd powiatowy wyrokiem swoim z dnia 9 grudnia r. z., wolnym mnie czyniąc od winy i kary, a że założona przeciw niemu apelacya król. prokuratorowi nie jest prawnie uzasadnioną, udowodnił to obrońca prawa pan Szuman przekonywująco w danej nań odpowiedzi. Pozwolę sobie podnieść najprzód głównejsze momenta prawne rzeczonyj odprawy, a następnie wypowiedzieć powody z mych osobistych stosunków i z natury mego kapłańskiego charakteru płynące, które przemawiają wymownie za prawnością postępowania mojego.

Prawem karnem, na którem się oskarżenie opiera, jest § 23 prawa z dnia 11 maja r. 1873, według którego karygodnym jest, kto wykonuje duchowne czynności w urzędzie, który mu wbrew przepisowi § 1 do 3 tegoż prawa powierzonym został. Pomienione zaś paragrafy 1 do 3 nie żądają niczego więcej nad to, aby nowo ustanowiony kapłan niemieckim był poddanym, aby posiadał wymagane prawem wykształcenie i aby przeciw jego ustanowieniu nie był założony protest przez naczelnego prezesa. Tym wszystkim wymaganiom stało się co do mej osoby najzupełniej zadość. Dopóki więc król. prokura-

torya braku tych trzech postulatów w obecnym przypadku udowodnić nie zdoła, tak długo, wnioskując logicznie, nie jestem karygodnym. I w rzeczy samej nie podobną było król. prokuratorowi zacząć owych trzech prawnych momentów, w miejsce których przybiera sobie do pomocy niesłusznie § 15, aby ukaranie mnie spowodować. Tymczasem § 15 zawiera przepis, który dotyczy i obowiązuje jedynie moich przełożonych duchownych, względem mnie zaś jako podwładnego nie ma żadnego znaczenia. Gdyby bowiem prawodawca chciał być karać kapłana, przy którego ustanowieniu przełożony duchowny przepis paragrafu 15 pominął, natenczas byłby musiał koniecznie w § 23 wyraźnie wypowiedzieć, że nie tylko ten jest karygodnym, który wbrew § 1 do 3, lecz także wbrew § 15 ustanowionym został. Tego zaś prawodawca ani nie wypowiedział, ani wypowiedzieć nie mógł, ponieważ ukaranie podwładnego kapłana za to, że władza duchowna jedynie ją dotyczący pominęła przepis zawiadomienia królewskiego rządu o nazwisku kandydata na nową posadę, nie dałoby się żadną miarą z pojęciem sprawiedliwości pogodzić.

Czy zawiadomienie władzy świeckiej paragrafem 15 wymagane, jest w instancji prawodawcy *conditio sine qua non* ustanowienia kapłana, albo nie, rzeczą jest obojętną, ale w każdym razie jest tyle pewną, że, dopóki prawodawca takiej intencji wyraźnie nie wypowiedział, że niedopełnienie przepisu § 15 taką samą sprowadza karę i te same

skutki, jak to § 23 orzeka, dopóty karygodność na mocy samej tylko dedukcji nastąpić nie może. Prawdziwość powyższego wywodu prawnego sam nawet prawodawca, jak się zdaje, przewidział, ponieważ dopiero w noweli, mającej uzupełnić prawa majowe, także obecny przypadek do karygodnych wyraźnie doliczyć czuł się spowodowanym. Gdy jednakże to przyszłe prawo na poprzednie przypadki rozciągać i zastosować się nie da, zwłaszcza, że takowe się jeszcze w stadium projektu prawnego znajduje, przeto o karygodności w moc tego prawa dodatkowego ani być mowy nie może.

Nie prawdziwym zaś w każdym razie jest zdanie pierwszego sędziego, jakoby naczelny prezes, nie odebrawszy zawiadomienia od władzy duchownej, nie był w możności zaprotestowania przeciw ustanowieniu mojemu w Chłudowie. Naczelnemu prezesowi nadaje bowiem prawo wolność do założenia protestu przeciw ustanowieniu kapłana bez różnicy, czy tenże z zawiadomieniem, lub bez zawiadomienia władzy świeckiej ustanowionym został. Wszakże do możebności założenia protestu niczego nie potrzeba więcej nad powzięcie wystarczającej wiadomości o ustanowieniu kapłana i woli ku temu opartej na prawnych powodach. Na wiadomości zaś o ustanowieniu mojem nie zbywało naczelnemu prezesowi, który, jak to sam przyzna, już w pierwszych dniach mego w Chłudowie pobytu otrzymał urzędowe w tej mierze od król. rady ziemiańskiego w Poznaniu zawiadomienie. Jeśli zaś

mimo to przysługującego mu protestu nie założył, natenczas musiałem koniecznie dojść do przekonania, że umyślnie przeciw ustanowieniu memu protestu założyć nie chciał, zwłaszcza, że protest w niektórych podobnych przypadkach rzeczywiście nastąpił.

Jest wszakże więcej jeszcze powodów, które złą wiarę i podstęp (dolus), o który mnie królewska prokuratorya posądza, najzupełniej wykluczają. W poświadczeniu bowiem, że wymagalności oznaczone w § 23 resp. w § 1 do 3 praw majowych co do mej osoby najzupełniej są dopełnione, dalej że od lat szesnastu uznany jestem przez państwo pruskie w urzędzie, nieskazitelne prowadzenie moje ani Kościołowi ani państwu do niezadowolnienia nigdy nie dało powodu, wreszcie w przypuszczeniu niepodobieństwa, aby państwo wśród tych okoliczności i bez winy mojej duchownego mego urzędu, tego jedynego środka utrzymania życia, pozbawić mnie chciało — musiałem koniecznie nabrać tego niewzruszonego przekonania, że naczelny prezes przeciw ustanowieniu memu, w braku prawnych przyczyn, ani chciał, ani mógł protestować. Że żadnego z mej strony nie było podstępu (dolus), udowodnił to także pierwszy sędzia przekonywającemi dowodami, wobec których oświadczenie król. radcy ziemiańskiego z dnia 7 sierpnia r. z. żadnej nie mogło mieć racyi, zwłaszcza że prawo wyraźnie tylko naczelnego prezesa uważa jako tę kompetentną władzę, której podobne oświadczenia czynić należy. Ponieważ zaś prezes naczelny milczał, ani protestując, ani o powo-

dach nie założenia protestu mnie nie zawiadamiając, przeto tak milczenie jego, jako też powyżej przytoczone powody uprawniały mnie do tego zdania, że król, radca ziemiański swe subiektywne zapatrywanie się względem mnie wypowiedział. Lecz nawet w takim razie, żebym się mimo tak silnych powodów miał być jednak pomylić co do rzeczywistych motywów pominięcia protestu przez naczelnego prezesa, wtedy obowiązkiem jego było o prawdziwych przyczynach mnie zawiadomić, bo inaczej o podstępie z mej strony (dolus) logicznie ani pomyśleć nie można.

Również ani przypuścić podobna podstępu i złej wiary u oskarżonego, który absolutnie nie ma możności działania inaczej. Taki przypadek właśnie co do mej zachodził osoby, bo z jednej strony obowiązek i przysięga posłuszeństwa względem Arcybiskupa i mój charakter kapłański, który mnie w sumieniu zobowiązuje do pełnienia nierozdzielnych od natury kapłana katolickiego czynności duchownych, z drugiej strony zaś przyrodzone prawo do życia, na którego utrzymanie tylko tym jedynym a moralnie dozwolonym sposobem, to jest pełnieniem funkcji duchownych zapracować sobie mogłem, były temi węzłami, które mi wszelki wybór niemożliwym czyniły. Bo niechże wysokie kolegium rozważyć łaskawie raczy, co by się do dziś ze mną było stało, gdybym od 1 lipca r. z. a więc przez dziewięć już miesięcy żadnych czynności kapłańskich nie był sprawował. Otóż, gdy do żadnej innej pracy nie jestem

zdatny, czekała mnie tylko ta alternatywa: albo odpaść od Kościoła mego albo umrzeć z głodu, a do takiej żadne uczciwe prawo zmuszać mnie nie może.

Król. prokuratora zresztą nie opiera zażalenia swego na aktach, lecz na dedukcyi, na przysądzeniu wewnętrznych intencji i na wymagalnościach, które ani w prawie, ani w prawdopodobieństwie, ani w możebności nie znajdują uzasadnienia, i którym dla tego zbywa na mocy prawnego dowodu. Do takich należy między innymi twierdzenie król. prokuratora, że działałem w złej wierze i podstępnie, że przed objęciem mego urzędu miałem obowiązek zapytać się mego przełożonego duchownego o prawność mego ustanowienia, również z pensyi wikaryusza wiejskiego nader szczupłej abonować gazety i działać wedle wątpliwych ich wiadomości. Taki przecież sposób dowodzenia nie wystarcza zaprawdę do uzasadnienia karygodności oskarżonego. Wreszcie ustanowienie moje, jak wiadomo, jest tylko tymczasowe i paragrafem 2 prawnie dozwolone, ponieważ zwłoka narażała na niebezpieczeństwo dwie parafie ogółcone z pasterza.

Wysokie Kolegium! Udowodniwszy szczegółową repliką brak prawnego uzasadnienia apelacyi, oprę teraz dowód prawności mego postępowania jeszcze na nietykalnych zasadach katolickiego Kościoła i ogólnego pojęcia prawa. Powołuję się w tej przedewszystkiem mierze na powody, wygłoszone przeze mnie przed sądem pierwszej instancyi na dniu 9 grudnia r. z. w obronie mojej, tu przy aktach się znaj-

dującej, które dla bezstronnego rozumu i ludzkiego serca są aż nadto przekonujące, królewska prokuratora jednakże nie zadowolili się niemi dla tej, jak twierdziła przyczyny, że kapłan katolicki jest zwyczajnym tylko urzędnikiem państwa i jako taki zobowiązany do bezwarunkowego posłuszeństwa prawu państwowemu, równie jak żołnierz, który na rozkaz swojego oficera uśmiercić musi na miejscu obok stojącego towarzysza swego bez pytania, czy to słusznie albo nie.

Czy kapłan katolicki jest rzeczywiście urzędnikiem państwa lub nie, o to nie myślę toczyć sporu, tyle przynajmniej rzeczą jest jasną, że stosunek zależności kapłana katolickiego jest podwójny, jest nie tylko obywatelem państwa, lecz także sługą Kościoła i dwie od Boga ustanowione ma władze nad sobą, którym posłuszeństwo winien, to jest władzę duchowną i świecką, co już nie ma miejsca u urzędnika cywilnego. Równocześnie obie zadowolili władze w razie powstałego między niemi konfliktu jest absolutnem niepodobieństwem dla katolickiego kapłana, zwłaszcza, że w sprawach czysto kościelnych, jakim jest sprawowanie sakramentów świętych, swemu przełożonemu duchownemu bezwarunkowo posłusznym być musi, dopóki prawo majowe istnienia i uznania przez państwo pruskie władzy duchownej z księgi praw państwowych wyrażnie nie skreśli, wszelkiej hierarchii w katolickim Kościele nie zniesie, prostego kapłana za równego Arcybiskupowi swemu nie uzna i na chorągwi Prus po-

nętnego lecz niebezpiecznego słówka: „równość“ nie wypisze. A to właśnie musiałoby być prawo majowe rzeczywiście i koniecznie wprzód uczynić, aby być konsekwentnem, to jest, aby przynajmniej pod formalnym, względem słusznie żądać mogło od kapłana katolickiego posłuszeństwa wobec przełożonej jego władzy duchownej.

Również nie ulega wątpliwości żadnej, że jako pruski poddany mam prawo żądać od konstytucyjnego państwa wolności, abym według zasad mej przez państwo pruskie uznanej katolickiej wiary mógł żyć i działać. Ta zaś moja wiara naucza, że Kościół katolicki nie jest instytutem państwowym, lecz od Boga samego założonym, osobnym, wolnym zakładem, którego celem zbawienie duszy człowieka, a którego zarząd sam Założyciel Boski oddał wyłącznie ustanowionej przez Siebie władzy duchownej: apostołom i ich następcom, biskupom: *Constitut Christus apostolos regere ecclesiam Dei*. Władza przeto świecka do rządzenia Kościołem nie jest uprawnioną, albo tylko o tyle, o ile ustanowiona na to od Boga władza duchowna państwu ze swych praw ustąpi — co zresztą tylko w podrzędnych, zewnętrznych sprawach dźiać się może i co też za pomocą tak zwanych a między Stolicą św. z książętami świeckimi zawieranych konkordatów rzeczywiście się stało. I tu właśnie w niezajomości najelementarniejszych zasad katolickiego Kościoła dotyczących, spoczywa jeden z główniejszych zarodków obecnego wielkiego sporu zasadniczego między pań-

stwem a Kościołem, jako też w błędnem mniemaniu, że Kościół katolicki, podobnie jak protestancki, stać się może Kościołem państwowym. Po trzecie niezaprzeczoną jest faktem, że władza duchowna aż do tąd uznana jest przez państwo pruskie jako rzeczywista, a nie fikcyjna władza, której pierwszym przymiotem, jak logika wskazuje, jest posłuszeństwo podwładnych.

Skonstatowawszy powyższe zasady i prawdy, które przecież z pewnością nie moje subiektywne przedstawiają zdanie, lecz ogólnie znane fakta i obowiązująca mnie w sumieniu Kościoła mego wiarę, pozwalam sobie teraz uniżenie zapytać Wysokie Kolegium, czy bez obrazy mego sumienia i bez narażenia się na słuszny zarzut niemoralnego i rewolucyjnego postępowania mógłbym mej nawet przez państwo uznanej władzy duchownej winne wypowiedzieć posłuszeństwo i daną Biskupowi złamać przysięgę? — Dalej stawia mnie prawo z dnia 11 maja z r. w fatalne położenie, w iście demoniczny dylemat, z którego przy najlepszej woli żadnego nie ma wyjścia. Prawo to wystawia mnie bowiem na karę, czy mu jestem posłuszny lub nie — pozbawia mnie albo przez rząd królewski, albo Arcybiskupa mej posady, mego chleba — chce mnie ogłodzić i żąda w dodatku, abym się temu dobrowolnie poddał. Wymagać coś podobnego jest to rządać rzeczy niepodobnej, a jeśli to czyni prawo, natenczas obowiązwać nie może, bo według znanej zasady: „*ad impossibilia nemo tenetur*“. — Panowie, proszę rozwa-



żyć łaskawie jeszcze jeden przypadek, który odpowie na pytanie, czy podobna kapłanowi nie pełnić obowiązków duchownych. Otóż oskarżono mnie między innymi, że udzielił choremu sakramentu ostatniego olejem świętym namaszczenia. Więc to kapłanowi katolickiemu miałoby być rzeczywiście niedozwolonym, na żądanie chorego, co walczy ze śmiercią, ostatniej nieść duchownej pociechy? Czyżby liberalne państwo, co wolność wiary proklamuje, chciało naprawdę tak nieznośny gwałt sumieniu kapłana, poddanego swego, zadawać, przeszkadzając mu w dopełnieniu najświętszych obowiązków sumienia? Temu wierzyć nie mogę. Czyżby państwo miało chcieć na seryo tak nieznośny zadawać gwałt umierającemu poddanemu swemu, pozbawiając go ostatniego, najdroższego dobra na ziemi, jakim jest pomoc duchowna i pokrzepienie duszy na wieczności drogę? Tego mi ani przypuścić podobna. Albo, czyby umierający nie miał prawa żądać wobec państwa tej ostatniej pociechy? Cóż go obchodzi konflikt władz, któremu zgola nie winien? Niech tam sobie nie wierzą w ostatnie namaszczenie i w inne prawdy katolickiej wiary ci, którzy wierzyć nie chcą, wszakże wolność wyznawania i wykonywania tej katolickiej wiary muszą pozostawić tym, którzy wierzyć chcą i którzy za liberalne państwo poświęcili dziesięcinę z swego mienia i swej krwi na polach Danii, Austrii i Francji.

Chciałbym, aby to wysokie kolegium posiedzenie swoje na chwilę z tej tu sali do mego urzędowe-

go mieszkania w Chłudowie przenieść chciało i tam sądziło mnie. Z jednej strony, panowie, znaleźlibyście tam kapłana od lat 16-tu wielokrotnie, bo na różnych miejscach uznawanego przez państwo w duchownym urzędzie, co sterawszy już w służbie publicznej zdrowie i jako spokojny obywatel wśród tak długiego czasu i tylu stosunków przeróżnych nie zgola przeciw państwu nie zawiniwszy, nic ze swej strony uczynić nie mógł, aby obecnemu fatalnemu ujęciu położeniu, z drugiej zaś strony znaleźlibyście próżniściany jego pustego mieszkania, których całą stanowić ozdoba stół wraz z łóżkiem i kuferkiem podróżnym, a przy którego zgniłych oknach świeca gaśnie od wiatru, dalej spotkalibyście tam podeszłą w leciech i pod ciosem ciężkiego niezasłużonego losu dogorywającą oskarżoną matkę, która, by wychować państwu swego jedyne go syna na pożytecznego obywatela a Kościołowi wiernego sługę, poświęciła prawie całe a ciężką pracą rąk własnych pozyskane mienie, której za to nawet umrzeć w spokoju nie dano, a której lzy dziś pomsty nieba wołają; znaleźlibyście tam wreszcie dwieście talarów rocznej, od prywatnej osoby płatnej pensyjki, którą już oddawna arezstem obłożył król, radca ziemiański, nie czekając nawet wyroku tego wysokiego sądu. I jeśli teraz, panowie, to wszystko, tę niewymowną niedolę rozważycie, a następnie do powyższych faktów zastosujecie prawo z dnia 18 maja r. z., czyż to ostatnie nie musi się krzyczącą niesprawiedliwością okazać? Czyżby to nie było gorzką ironią, gdyby mi

jeszcze wśród takich okoliczności podstęp (dolus) przypisywać chciano?

Zaiste, i ja podzielałam to zdanie, że prawo państwa obowiązuje każdego bez wyjątku a więc i katolickiego kapłana, ale prawo musi być wykonalne i dać się pogodzić z sumieniem. Albowiem nie państwo jako takie, lecz Bóg jest najwyższym prawodawcą, pierwiastkiem, z którego wszelkie władze moc swą prawodawczą biorą. Z Boga jako ze źródła płynie prawo, którego celem utrzymanie Bożego porządku na ziemi, a którego niezbędnymi przymiotami jest moralność, możebność i sprawiedliwość. Jeśli zatem jakie prawo ludzkie od tych odstępowało przymiotów, jeśli się prawu Bożemu i Boskiemu porządkowi sprzeciwia, wtedy już nie jest prawem, lecz jego negacją. Dlatego też i ja posłuszny jestem prawu, dopóki się zgadza z wolą Bożą, z moją wiarą i z sumieniem mojem, jeśli zaś nie, tedy muszę „bardziej służyć Bogu aniżeli ludzi“.

Kończąc niniejszem obronę moją, zastrzegam się uroczyście przeciw wszelkiemu możebnemu zarzutowi pogardy praw państwowych, którym przeniewierzyć się nigdy nie może ten, kto Bożym prawom dochowuje wierności. Stawałem tu w obronie mych najdroższych dóbr na ziemi: mego sumienia, mej czci i wreszcie mego ziemskiego bytu. Wykazałem dowodnie, jak zażalenie królewskiej prokuratury prawnie podtrzymać się i uzasadnić nie da i jako absolutnem dla mnie było niepodobieństwem działać inaczej jakom działał istotnie. Mocną przeto pokla-

dam ufność w znanej sprawiedliwości tego wysokiego senatu, któremu niepodobna będzie pozbawić mnie bez mej winy mego ucziwie wysłużonego prawa do życia i chleba i potępić, bo byłoby to niesłychaniem w państwie pruskiem i naturze przeciwnem widowiskiem. Tak jest, panowie, na sprawiedliwości, która jedyna jest podwaliną każdego mocarstwa, opieram pewność uwolnienia mego. Z tych więc powodów proszę wysokie kolegium, aby pierwsze wyrok łaskawie potwierdzić raczyło.

Dziennik Poznański z dnia 11 grudnia 1873 pisze: Królewski nadprokurator, replikując obronę X. Grabowskiego, uznał dowody w niej przytoczone częścią za nic nieznaczące, ponieważ prawu państwa należy się bezwzględne posłuszeństwo, częścią za takie, które obżalowanemu raczej szkodziły, aniżeli pomogły. Zwrócił też członkom senatu uwagę na to, że niepojętą jest rzeczą, że sąd pierwszej instancji wobec wyraźnego przestępstwa prawa mógł wydać wyrok uwalniający i skończył apostrofą do senatu, że dziś musi nastąpić wyrok skazujący na karę, ponieważ wiele jest spraw podobnych, w których przestępcy odwołują się na pierwszy wyrok i przez to opóźnia się ukaranie. Dziś musi być położony koniec przewłóce. — Przewodniczący Kolegium sądowego wróciwszy z narady, ogłosił wyrok tej treści: Na wniosek król. nadprokuratury odsyła się kilka pierwszych oskarżeń napowrót do pierwszej instancji celem ponownego postępowania dla niedopełnienia pewnych for-

malności; za ostatnie zaś oskarżenia, obejmujące 10 czynności duchownych skazuje się X. Grabowskiego na 50 talarów kary pieniężnej wzgl. trzytygodniowe więzienie. Motywa: X. Grabowski pełnił obowiązki duchowne w przeświadczeniu o ich nieprawności, bo wbrew oświadczeniu i zakazowi landrata, naczelny prezes nie mógł protestować przeciw ustanowieniu obżałowanego, ponieważ nie był o tem zawiadomiony przez władzę duchowną; reszta zaś dowodów przytoczonych na niewinność swoje przez X. Grabowskiego mogłaby, może gdzieindziej mieć swoje znaczenie i uwzględnienie, ale nie tu — jesteśmy nie jak inni ludzie zwyczajni w równym im położeniu, lecz urzędnicy państwa i jako obrońcy istniejącego prawa państwowego z obowiązku, musimy przeto za niedopełnienie prawa skazać X. Grabowskiego na karę.

Prokurator wniósł o ustanowienie kary na 10 tal. wzgl. 6 tygodni więzienia.

Lecz nie skończyło się na tem. Mimo to, że wyrok pierwszej instancji z dnia 9 grudnia 1873 uwalniający mnie od winy i kary był prawomocny, resp. niezniesiony aż do terminu w sądzie apelacyjnym dnia 30 marca 1874, prokurator wytoczył już 20 lutego nową skargę, i to za nieprawne czynności wykonane przeze mnie 16 lutego 1874, za pobłogosławienie ślubu — i 2 lutego 1874 za dwa chrzty; drugą skargę dnia 28 marca 1874 za mowę pogrzebową przy pogrzebie żony Neumanna w dniu 15 marca 1873 i za jeden chrzest w dniu 17 marca

(w terminie 24 kwietnia 1874 skazano mnie na 45 mk. wzgl. 2 tygodnie więzienia); trzecią skargę dnia 13 kwietnia 1874 za 3 niedzielne nabożeństwa, odprawione po nowym roku 1874 i za 3 chrzty, jeden w dniu 2, drugi dnia 15 listopada, trzeci także w listopadzie albo grudniu 1874 r. zatem te 3 chrzty jeszcze przed pierwszym uwalniającym wyrokiem z dnia 9 grudnia wykonane) — za grób chłopca poświęcony, za jedną spowiedź, za mszę św. czytaną przy pogrzebie Kruszczyńskiego. Za powyższe 10 czynności trzecią skargą objęte skazał mnie sąd powiatowy w Poznaniu wyrokiem z dnia 22 maja na 65 talarów kary wzgl. 1 miesiąc więzienia. Na termin ten już się osobiście nie stawiłem, ponieważ z powyższego wykazało się jasno, że dalsze stawanie na terminy po wyczerpaniu argumentów wszelkich, które sąd jako nic nieznaczące odpiera i odrzuca, na nic się nie przyda. Sąd ma tylko jeden argument na odpowiedź, którą jako niezwyciężoną kolubryną zmiata wszelkie argumenty oskarżonego: prawo majowe jest, zakaz sprawowania znasz, czynności na nowej posiadzie pełniłeś, a zatem karany być musisz. Mimo niestawienia się na termin, przesłałem sądowi piśmieniem obronę.

Tymczasem w dalszym toczyła się biegu sprawa Chłudowska w tak częstych przejawach, że omawiano ją długo w osobnym odcinku Dziennika i Kurjera Poznańskiego.

Wobec tego, że pierwszy mój pobyt w Chłudowie wnet dobiegnie końca (a drugi dopiero w roku 1880 nastąpi) zaznaczyć tu muszę, że wśród tej nieustannej walki czułem się tak szczęśliwym i swobodnym, jak nigdy przedtem — ta walka podniecała mój umysł, sprawiała mi radość, byłem w swoim żywiole a przytem nie byłem tak bardzo osamotnionym. Miałem kilka domów przezacnych w parafii i okolicy, skąd doznawałem wielkiej życzliwości, pomocy, pociechy. To też bywałem w nich często, na ochłodę upału przelicznych utrapień, niewygód i pracy, spędzając wolny od obowiązków czas, a miałem go wiele, ponieważ parafia Chłudowska liczyła tylko jedną wieś z folwarkiem a parafia sąsiednia Maniewa, przyłączona do kościoła w Chłudowie, licząca także kilkaset dusz, pozostawiała mi wiele chwil wolnych.

Jeden taki dom z szczególniejszem uznaniem tu wymieniam. O 20 minut drogi od Chłudowa jest sąsiednia wieś dominialna Golenczewo a dziedzicem jej był wtenczas Niemiec i protestant, pozasłużbowy oficer p. Bayer. Był to pierwszy i jedyny pan z okolicy Chłudowa, który mnie nieprawnie ustanowionego katolickiego kapłana odwiedził i prosił, abym dom jego uważał za codziennie dla mnie otwarty a jego za gotowego do usług na wszelkie moje życzenia. On to odwoził mnie swymi końmi na terminy do sądów karnych, on był obecnym podczas mojej obrony, on też, gdy w roku 1880 wskutek zniesienia prawa veto co do wikaryusza wracał na wi-

karyat do Chłudowa, zawiózł mnie swymi końmi tamdotąd i towarzyszył procesjonalnemu przyjęciu mnie przez parafian. Bywałem więc często w jego domu, zawsze najserdeczniej przezeń przyjmowany i względami jego darzony — chowam go dotąd w niewygasłej pamięci.

W pierwszych dniach czerwca pojechałem do Wroniek odwiedzić matkę moją. Z obawy, aby mi w mej nieobecności nie zabrano ksiąg kościelnych: chrztów, ślubów, pogrzebów, wziąłem je ze sobą i umieściłem je po drodze w pewnym dworze okolicy w bezpiecznym miejscu na schronienie. Po dwóch dniach wracam do Chłudowa, zbliżam się do plebanii, nie widzę nikogo, otwieram drzwi domu, zamknięte, pukam, nikt nie otwiera, idę do kościoła, stojącego przy drodze naprzeciwko plebanii, otwieram drzwi, zamknięte — gromadzą się ludzie i opowiadają mi, że na drugi dzień po moim wyjeździe przyjechał do Chłudowa komisarz z żandarmanii, którzy wyprowadzili ojczyma mego z plebanii, powynosili wszystkie sprzęty moje, talerze, garnki i wszystko co było w kuchni i pokoju na dwór przed plebanie, zamknęli plebanie i kościół na klucz i zabrawszy klucze ze sobą, odjechali. Zostałem więc sam pod gołem niebem, cały świat stanął przede mną otworem i byłem wolny jak ptak. Nie wiedząc co począć i gdzie się podziać, udałem się do ówczesnego Ofcyfała, X. Biskupa Janiszewskiego, z prośbą o pomoc, o jakie umieszczenie mnie pod dachem, na co otrzymałem odpowiedź: My Ci nic po-

móźdz nie możemy, radź sam o sobie, jak możesz i szukaj jakiego pomieszczenia u którego z księży. Poszedłem do księdza kanonika Dorszewskiego, proboszcza kapitularnego i otrzymałem równobrzmiącą odpowiedź, natomiast X. Arcybiskup przysłał mi na wspomóżenie 20 a X. kanonik Maryański 10 talarów, naturalnie z własnego popędu i litości.

## ROZDZIAŁ V.

### **W Brodowie i Osieku.**

Będąc kilka lat przedtem wikaryuszem przy katedrze w Poznaniu, poznałem się z ówczesnym re-gensem seminaryum w Poznaniu, późniejszym Biskupem i administratorem dyecezyi i Arcybiskupem X. Likowskim, który był dla mnie bardzo łaskawy i nieraz mnie chorego w moich obowiązkach wikaryuszowskich zastąpił, a który widząc się ze mną po wygnaniu mojem z Chłudowa, polecił mnie hrabiemu Wiktorowi Szodrskiemu w Brodowie pod Środą, u którego pierwszy po banicyi znalazłem przytułek. Niebawem udałem się do Brodowa i w podróży mojej poznałem X. Jażdżewskiego, późniejszego proboszcza w Środzie, z którym jechałem pocztą do Brodowa, gdzie wysiadłem a proboszcz w dalszą do Zdun udał się drogę. Jeszcze dziś wspominał sobie jasno scenę przyjęcia mnie przez najzacniejsze hrabiostwo w Brodowie. Wybiegła naprzeciwko mnie wchodzącego w progi pałacu z tłumoczkim, pani hrabina Teresa z tak serdecznem powitaniem, z jakim matka nie mogłaby serdeczniej witać swego syna, a z taką prostotą

i unізonością, jakby witała świętego męczennika, żem czuł się bardzo zawstydzonym, a tak była skromnie ubrana, że ani ja ani nikt inny odgadnąłby nie mógł, że to hrabina, gdyby się sama nie przedstawiła. Zaprowadziła mnie natychmiast do swego męża, hrabiego Wiktora, który od wielu lat z powodu niemocy nóg chodzić nie mógł — siedział na sofie, czytając gazetę. Skoro mnie ujrzał, już z daleka pierwszy mnie powitał uśmiechnięty tak miło i uprzejmie, jak gdyby dawnego swego znajomego. Radość moja była tak wielka, że wcale nie żałowałem wygnania. Szczęśliwe chwile mego pobytu w Brodowie opisałem w III pieśni poemaciku mego pod tytułem: „Brodowiana“, dedykowanym hrabiostwu Wiktorowi i Teresie Szoldrskim w Brodowie. Dostałem się więc do domu nie tylko najdosłajniejszego i najgościnniejszego, lecz także roztaczającego wokoło światło głęboką wiarą i prawdziwą pobożnością. Hrabia budował otaczających go dobrocią szlachetnego serca i Jobową cierpliwością w znoszeniu swego kalectwa a hrabina jako wzór chrześcijańskiej małżonki oddała całkiem nie tylko serce, lecz jako prawdziwa Samarytanka wszystkie swe siły na posługę, na pielęgnowanie i osłodę nieszczęśliwej doli swego ukochanego małżonka. Siłę do wykonywania swych ciężkich obowiązków czerpała hrabina już to w modlitwie, już to w ascetycznych ćwiczeniach. Pomiedzy religijnemi księganiami lubowała się bardzo w ascetycznem dziełku autora Jezuity, (którego nazwiska chwilowo nie pomnę): „O miłości poznawaniu Jezusa Chrystusa“,

a ponieważ książka ta była napisana w francuskim języku, prosiła mnie usilnie, aby ją przetłumaczył na polski. Pomimo długiego wzbraniania się mego do podjęcia tej pracy dla braku dostatecznej biegłości w francuskim języku, który znałem tylko z bieżącej nauki w gimnazyum, nie zdołałem odmówić dobrodziejce podjęcia choćby tylko próby. Po przetłumaczeniu mojem pierwszych dwóch rozdziałów i po przeczytaniu tychże w kaplicy domowej nie posiadała się hrabina z radości, nie szczędząc pochwał pięknego języka i stylu obok ścisłej w tłumaczeniu wierności. Pracę tę wykonywałem, dopóki bawiłem w Brodowie, w parku, w prześlicznem kółku świerków, a dalszy ciąg nastąpił już na dalszych stacyach, o czem poniżej.

Po ostatnim wyroku i skaraniu mnie na karę 65 marek wzgl. jednomiesięczne więzienie z dnia 22 maja, wytoczył prokurator nową skargę w dniu 19 czerwca 1874 roku o odprawienie dwóch mszy św. w pierwszym i drugim dniu Zielonych Świąt w zastępstwie obecnego proboszcza, który przybył do Chłudowa i odprawił całe nabożeństwo z wyjątkiem mszy św., ponieważ będąc chory, po odprawieniu w Owińskach jednej mszy św. dla swoich parafian, nie mógł pozostać bez posilenia się, a przybywszy do Chłudowa, nie będąc na czczo, drugiej mszy św. odprawić już nie mógł i mnie odprawić ją w swej obecności kazał. Mimo tych okoliczności sąd karny powiatowy ten sam, który mnie w pierwszym razie uwołał, skazał mnie tak, jak w drugim terminie

w dniu 22 maja na karę 65 tal. wzgl. 1 miesiąc więzienia, teraz w dniu 22 września 1874 trzeci raz na 50 tal. wzgl. jednomiesięczne więzienie za dwie msze św. czytane.

Ale na świecie dziwnie się plecie... bo otóż, ten sąd powiatowy, który w odezwie w sądzie apelacyjnym w dniu 30 marca 1874 wypowiedziane przez prokuratora otrzymał memento za uwolnienie mnie w dniu 9 grudnia 1873 roku, (do którego się w dalszych wyrokach wysokimi karami wiernie zastosował), — teraz za ten co dopiero tu powyżej przytoczony wyrok z 22 września otrzymał wskutek mojej apelacji nowe memento przez to, że sąd apelacyjny wyrokiem swoim z dnia 4 marca 1875 r. uznał wyrok tegoż z dnia 2 września za zbyt surowy i jednomiesięczną karę więzienia na pięciodniową umniejszył. Im dalej w las, tem więcej drzew...

Po drugim memento nastąpiła druga poprawa. Otóż wskutek nowej skargi prokuratora już z dnia 21 maja 1874 (gdym był jeszcze w Chłudowie) wyznaczył sąd nowy termin dopiero na 17 listopada 1874 r. Skarga opiewała przestępstwo za jedną mszę czytaną w święto Wielkanocne i wysłuchanie spowiedzi według świadectwa sołtysa Bartholda z Chłudowa, a ponieważ na wysłuchanie spowiedzi nie było dowodu, skazał mnie sąd powiatowy na 25 talarów wzgl. tydzień więzienia za mszę św. Znamienna okoliczność, że wprzód odbył się termin poprzedni 22 września za przestępstwo

w Zielone Świątki a termin za przestępstwo na Wielkanoc o pół roku później dnia 18 listopada 1874 r. Dowód stąd na to, z jaką wyszukiwano zaciętością choć jedną mszę św. odprawioną pół roku przed ostatnim terminem.

Po półrocznej gościnie mojej w Brodowie przyjechała tam rodzona siostra hrabiny Teresy, hrabina Amelia Szoldrska z swym mężem Emilem z Osieka pod Rawiczem na imieniny brodowskiej pani na dzień 15 października, a po tygodniowym pobycie zabierając się do odjazdu, do swej siostry rzecze: „Masz tu u siebie dwóch księży majowych (był tam już bowiem X. Fleiszer, filipin z gostyńskiego klasztoru), a ja także mam domową kaplicę w Osieku, odstąp mi jednego księdza“. I wybór padł na mnie.

Wyjechałem więc razem z hrabiostwem do Osieka, w którym spędziłem lat kilka przyjemnych i to nie tyle dlatego, iż los szczęśliwy na to się składał, jak dlatego, że były zacne i złote serca pp. Szoldrskich, które ani na chwilę nie dozwalały mi się smucić, również i przyroda sama, na którą składały się: wspaniały, stary park i z nim prawie łączący się las, łąki i błonia. Mijały dni szybko jak chwile, bo skracała mi czas w znacznej mierze praca, którą z Brodowa ze sobą przywiozłem do Osieka. W Brodowie bowiem nie wiele przetłumaczyłem rozdziałów książeczki „O poznawaniu i miłości Jezusa Chrystusa“, przeto w Osieku rozpoczął się ciąg dalszy a trwał codziennie po kilka godzin przy sto-

jącym pulcie. Aby zaś czas jeszcze przyjemniej schodził i aby przybywało siły i zdrowia do pracy, połączyłem w nim *utile cum dulci*, odbywałem przechadzki w lesie, pisząc na sosnach mój wyżej wspomniany poemat: „Brodowiana“, który przy sposobności następnej wizyty mojej wraz z hrabstwem Osieckiem w Brodowie dnia 15 października wręczyłem jako podarek imieninowy pani hrabinie Teresie. Po tygodniowym pobycie w Brodowie wróciłem z hrabstwem do Osieka, aby się cieszyć i budować nadal codziennie widokiem cnót staropolskiej ojców pobożności, miłości, zgody, serdecznego umiłowania ojczyzny, miłosierdzia względem bliźnich w potrzebach i nieszczęściu.

## ROZDZIAŁ VI.

### Do Rawicza.

Mile płynęły mi dni i godziny dalsze po moim z Brodowa powrocie wśród niewysłowionej gościnności, dobrotliwości w obejściu, pieczołowitości o wszelkich moich potrzebach, któremu mnie hrabiostwo Osieckie darzyło tak, iż czułem się szczęśliwym i swobodnym jak we własnym domu. Lecz swoboda trwać miała już krótko, zaczęły się bowiem nad mą głowę zbierać czarne chmury, sypać karne mandaty, wezwania do płacy nałożonych grzywien przez sądy za przestępstwa praw majowych, a zebrała się po licznych terminach i wyrokach suma nie mała. Cóż było począć. Ulotnić się nie mogłem, a na zapłatę nie miałem funduszu, a choćbym miał, zapłaciłbym nie chciał, bo nie byłem dłużny nikomu. Ulitowali się nade mną szlachetni hrabiowie z Brodowa, Osieka i z Pakosławia hrabia Czarnecki, chcąc za mnie kary zapłacić, lecz podziękowałem za szlachetne wspaniałomyślnej ofiary chęci i nie przyjąłem wykupu, bo uważałem za rzecz niegodną wykupywać się od kary, będąc niewinnym, i owszem cieszyłem się, że mi dano sposobność cierpieć za



Bożą i Kościoła sprawę. Ponieważ zaś na mandaty karne sądu ani nie odpisałem, ani żądanych nie zapłaciłem talarów, zajechał pewnego dnia przed pałac osiecki obwieszczyk kibitką, i okazawszy mi mandat sądowy, zażądał pieniędzy, których nie otrzymał; poczem zabrał się do fantowania, ale nie było co brać, bo meble w pokoju nie były moje a w jedynym kufereczku moim, który przetrząsnął od góry do dna, zamiast pieniędzy znalazł płótno — więc zaprosił mnie grzecznie, abym był łaskaw wsiąść na jego wózek i towarzyszyć mu w podróży do więzienia do Rawicza. A że opór byłby bez celu, nie pozostawało nic innego, jak jechać. Tymczasem hrabia nie pozwolił mi jechać z egzekutorem w kibitce, lecz kazał zaprządz do powozu i jechać na przodzie a egzekutorowi za mną. Pożegnawszy rozrzewnionych hrabiostwa, wyjeżdżałem sam bez smutku, wesoło jakbym na zabawę dążył. Po drodze, przejeżdżając przez Golejewko, kazałem obwieszcykowi jechać za sobą na probostwo, ażeby się pożegnać z dziekanem, X. Sąchockim, a po półgodzinnym popasie zajechałem szczęśliwie do Rawicza.

Dom więzienny, wybudowany w zacyjny pruski mur, a z dawniejszej przerobiony stajni, stał w podwórku sądowym. Było już pod wieczór, stróż więzienny czekał na moje przybycie i wprowadził mnie do więziennej celi o dwóch oknach, zabitych aż prawie do góry deskami, dwa łóżka bez pościeli i dwa krzeselka drewniane stanowiły całe umeblowanie —

było to już w późnej jesieni, na początku zimy. Rozpakowawszy moje manatki, między którymi znajdowała się także pościel od hrabiny, nie miałem nic pilniejszego, jak ustawić owe dwa krzesła naprzeciwko siebie, pokłaść na jedno słownik francusko-polski i materyały piśmienne a na drugim usiadłem ja i dalejże do tłumaczenia dalszego książki „O miłości i poznawaniu Jezusa Chrystusa“. Miałem ze sobą świeczkę i przekąskę, usłałem sobie łóżko i zasnąłem aż do przebudzenia mnie przez dozorcę, rano ugotowałem sobie na maszynie kawy i dalej do pracy. Około godziny 10-tej przyszedł mnie przywitać dyrektor sądu i zastawszy mnie skulonego przy pisaniu na krzeselku, roześmiał się serdecznie. Przedłożyłem mu dwie prośby, aby mi pozwolił kazać przynosić sobie obiady z hotelu i sprowadzić sobie z Osieka biurko do stania, na co się też chętnie zgodził. Odtąd odwiedzał mnie prawie codziennie o rozmaitej dnia porze a zawsze zastał mnie stojącego przy biurku i piszącego. Po pewnym czasie dowiaduję się, że dyrektor z wielkim podziwem i pochwałami opowiadał w mieście, że więźnia takiego jeszcze nie miał, ani o takim nie słyszał, bo kiedykolwiek przyjdzie do mnie, to ja stoję przy biurku i piszę. Po upływie tygodnia przyjechała mnie odwiedzić w więzieniu pani hrabina Amelia i z rozrzewnieniem okazywała mi taką cześć jakby jakiemu świętemu męczennikowi, tak, iż czułem się bardzo zawstydzonym, nie uważając ani więzienia, ani cierpienia za jakąbądź zasługę, raczej za igraszkę. Bo czegoż mia-

łem się smucić — pani hrabina przywiozła mi z sobą dużo prowiantu i do gotowania sprzęty potrzebne, bo oprócz obiadów z hotelu, gotowałem sobie śniadania, podwieczorki i wieczerze codziennie na okowicianej maszynie — i tyle tylko miałem wypoczynku od pracy przy pulcie, ile mi czasu zabierały obowiązki kuchmistrza. Miałem też w więzieniu radosne niespodzianki. I tak pewnego dnia przychodzi do mnie dozorca i prosi mnie, abym za pozwoleniem dyrektora poszedł z nim do gmachu sądowego tuż przy podwórzu na drugie piętro do sekretarza, bo tam jest jakiś interes do załatwienia. Wchodzę do sekretarza i pytam, w jakim interesie po mnie przysłał; w tej chwili, jakby za umową, otwierają się drzwi z przyległego pokoju, i wchodzi ksiądz dziekan, Marcin Nożewnik z Witkowa, mój najserdeczniejszy przyjaciel i bezustanny kolega od seksty gimnazjalnej, i z rozjaśnionem jak słońce obliczem wita mnie serdecznie i śmiejąc się opowiada zmyśloną okazyję do odwiedzenia mnie, ponieważ odwiedzał swych krewnych w pobliskim Lesznie. Wtem otwierają się drzwi od sieni i wchodzi X. Dolny Jakób, proboszcz z Niechanowa, udając zdumienie z tak przypadkowego spotkania się z Nożewnikiem i witają się, jak gdyby nic o sobie nie byli wiedzieli. No, radość była wielka a obaj zawołane filuty, bo tak podczas walki kulturalnej, gdym u nich miesiącami przebywał, jak i po walce kulturalnej, gdym już jako proboszcz mieszkał w Długiej Goślinie, podobnie wyrządzali oni figle. U sekretarza wolno nam było

rozmawiać po polsku tak długo, jak nam się podobało, byle tylko w jego obecności, a że słówka nie rozumiał polskiego, tak zabawne facecyjki opowiadali mi goście, żeśmy się śmiali do rozpuku. Tak wielką ofiarę podjęli dla mnie, tak daleką podróż, prawdziwi przyjaciele, to też pierwszy raz we więzieniu uczułem smutek w mem sercu przy pożegnaniu.

Były też w więzieniu okoliczności wcale nie zabawne a szkodliwe dla zdrowia. Pomiędzy gmachem sądowym a domem więziennym znajdował się mały, smrodliwy podwórek, w którego środku stały sążnie drzewa, które rąbali cały dzień więźniowie. Ten to podwórek był dla mnie parkiem, w którym było mi wolno codziennie przez jedną godzinę od pierwszej do drugiej godziny na „świeżem“ powietrzu odbywać przechadzki. Odprawiać mszy św. ani iść do kościoła nie pozwolono. Mróz w tym roku był tak straszliwy, że przechodził 24 stopnie podług Reaumura. Ściany domu więziennego były bardzo cienkie, bo przedziały w nich były wypełniane cegła o pół teje szerokości, przeto, gdy z ganku ogrzano piec, mający 20 lat, o papierowych kachelkach, tak się rozpalał jak głównia, iż trudno było wytrzymać od skwaru, a po godzinie lub dwóch był mróz w izbie.

Teraz następuje rozdział nowy i ostatni z pobytu mego w Rawiczu. Pewnego dnia po południu otwierają się drzwi celi i ukazuje się w nich X. dziekan Sachocki, witam go serdecznie i dziękuję mu za

łaskawą pamięć i odwiedzenie więźnia, a on na to: „Braciszku, nie przychodzę jako gość, lecz jako towarzysz“. Nie przyszedł jednak do więzienia jako nowo przesiedlony ksiądz majowy, lecz za to, że jako dziekan nie chciał zdradzić tajemnicy o istnieniu tajnego administratora dyecezyi, a skazano go na więzienie bez końca, tak długo, dopóki administratora nie wyda. Znalazłem obecnie jeszcze protest do sądu, który mu napisałem na jego życzenie. — To samo działo się i z innymi dziekanami.

Skoro zamknęły się drzwi celi i rygiel zaskrzypnął w zamku, wybuchnął dziekan takim płaczem, że m zadrżał cały od strachu, sądząc na razie, że go nagła choroba opadła. Więc pytam, perswaduję, że przecież nie ma powodu do płaczu, że ja tu już kilka tygodni jestem i tak mi tu dobrze, że, ile razy klucz w zamku się przewróci, to ja się śmieję i śpiewam. Lecz nic nie pomogło; czy dozorca drzwi na klucz zamykał, czy też klapkę ze szklanego oczka w drzwiach odsuwał, aby zobaczyć, co ptaszek w klatce robi, dziekan zaraz w płacz i tak, wylegając całymi dniami na łóżku, codziennie płakał, podczas gdy ja stał przy pulcie od rana do nocy, i akompaniowałem mu śmiechem serdecznym. Tyle tylko bawieniem mu służyłem, o ile mi na to pozwalał czas wykonywania kucharskiej sztuki; z przybyciem dziekana bowiem przybył mi stołownik, tak, iż odtąd musiałem gotować dla dwóch, dla siebie i dla niego, bo on nic nie umiał, ani kawałka chleba sobie ukrajać, i gdyby mnie nie było, był-

by musiał jeść z kotła więziennego, albo umierać z głodu. Dlatego też miłość pomiędzy nami była wielka: on mnie nazywał „swą babą“, a ja jego „swoim dziadem“. — Zacząłem też spisywać „dzienniczek“ w Rawiczu lecz z przybyciem dziekana przestałem.

## ROZDZIAŁ VII.

### Niedobrowolne przenosiny.

Lecz węzeł ten małżeński baby z dziadem nie trwał zbyt długo, przerwał go niedobrowolny rozwód. Po kilku tygodniach wspólnego małżeńskiego pożycia dnia pewnego wchodzi do naszej celi dyrektor sądu z nieznanym nam panem i przedstawia mi przybyłego z nim pana jako fizyka powiatowego, prosi mnie, abym mu pozwolił zbadać stan mego zdrowia. Oświadczyłem, że przeciwko temu nie mam nic do nadmienienia. Doktor po gruntownem opukaniu i wysłuchaniu muzyki moich organów piersiowych, szepnął kilka słów dyrektorowi do ucha, poczem rzecze do mnie dyrektor: „Proszę księdza dobrodzieja, aby natychmiast stąd wyjechał, bo nie możemy brać odpowiedzialności za dalszy jego tutaj pobyt.“

Zdziwiłem się bardzo tej niespodziance, bo chociaż czułem się nieco słabym, lecz wcale nie wiedziałem, że jestem chory. Był to właśnie dzień przed wigilią Bożego Narodzenia. Rozstanie moje z „babą“ było nader bolesne, pojechałem czem prędzej do matki mojej do Wroniek na „gwiazdkę“ wśród dwu-

dziestostopniowego mrozu. We Wronkach byłem aż do maja 1875 roku, gdzie zrestaurowałem mocno podzarpane zdrowie, które wszakże miałem znowu utracić. Otrzymałem bowiem mandat sądowy, abym natychmiast przybył do Rawicza do dalszego odsiedzenia kar nałożonych. Tymczasem posłyszałem, że X. Biskup Janiszewski i X. kanonik Kurowski, odsiadując karę więzienną w Koźminie, doznawali od władzy nadzorczej, mianowicie od sędziego, możliwych względów. Chcąc sobie więc polepszyć pobyt w więzieniu koźmińskim, napisałem do sądu wniosek o pozwolenie odsiedzenia reszty kary w Koźminie. Po kilkumiesięcznym wypoczynku we Wronkach udałem się na miejsce nowej karni. Lecz stało się inaczej niż sobie wymarzyłem. Jakiś złośliwy donosiciel, którego nazwiska nie wypada mi wymieniać, oskarżył u sądu sędziego o fałszywe wywołanie biskupa i kanonika. Sędzia otrzymał wygówór z upomnieniem, a dla mnie stały się ostateczne rzeczy gorsze, niż pierwsze. Obostrono porządek dzienny, obchodzono się ze mną tak samo, jak z wszystkimi więźniami, skazanymi za zbrodnie, bez względu na stan i osobę, z wyjątkiem pozwolenia na obiad z hotelu — podczas jednogodzinnej przechadzki codziennie w ogrodzie towarzyszył mi żołnierz z nabitą bronią. Dano mi celę na piętrze o dwóch oknach na południe i zachód bez kawałka zastłony, skwarny był maj i czerwiec, całe dnie paliłem się w słońcu, pod oknami na dole były kloaki. Dnia pewnego rano przychodzi więzień do posługi

i zastaje mnie leżącego na podłodze przy łóżku bez oznak życia. Więzień sprowadził doktora i sędziego, ledwie mnie przywrócono do życia — dano mi wprawdzie potem inną celę, lecz nie mogłem tam wytrzymać od zaduchu, którego siedliska nie mogłem wynaleść — nie doznałem też żadnej w niczem ulgi aż do końca. Smutny był tam mój pobyt, bo mnie nikt nie odwiedził, nawet proboszcz miejscowy. Tutaj osładzałem sobie czas dalszem tłumaczeniem dziełka: „O poznawaniu i miłości Jezusa Chrystusa“, które też ukończyłem.<sup>1)</sup> Odsiadywał tu karę więzienną razem ze mną X. Kantecki, redaktor „Kuryera Poznańskiego“.

Do więzienia w Koźminie kazał mnie odwieść z Osieka, gdym po powrocie z Wroniek tam przybył na czas krótki, hrabia Szoldrski rozstawnem kołmi, z których drugie wysłane były naprzód do Kobylina, ponieważ z Osieka do Kobylina było sześć mil drogi. Tak samo było z powrotem. Gdym więc wracał z Koźmina, zastałem tam już u X. dziekana podwodę osiecką. Poczciwy dziekan, zobaczywszy mnie tak zmarnowanego, jakoby na pól umarłego człowieka, kazał mi iść o kij do tamtejszego doktora, zacnego Kompfa, który zbadawszy mnie, płakał nade mną z litości, mówiąc, że jeszcze nie widział tak umęczonego człowieka. Po powrocie do Osieka przez kilka tygodni nie mogłem chodzić

<sup>1)</sup> Dziełko to wyszło w drukarni Romana w Pelplinie w r. 1876 w tysiącu egzemplarzy nakładem moim i Pani hrabiny Teresy Szoldrskiej z Brodowa.

o własnej mocy, musiano mnie albo prowadzić, albo musiałem w parku chwytać się drzew. Lecz i wtedy nie dano mi jeszcze spokoju — otrzymałem bowiem skargę nową prokuratora o odprawianie nieprawne mszy św. czytanych w kaplicy pałacowej w Osieku. Sprawa toczyła się długo w różnych instancyach aż do naczelnego prezesa i w sądzie i byłaby się skończyła jak najgorzej, gdyby hrabia Szoldrski nie był zeznał, że nie byłem u niego kapelanem, ani na pensyi — tylko w charakterze gościatulacza. Przysłano mi też ze sądu rachunki za koszta więzienne, za mieszkanie w więzieniu i stółowanie z kotła, którego nie żądałem ani go otrzymałem, a gdym wzbraniał się płacić, kazano mi składać manifestacyjną przysięgę, że nie mam pieniędzy do zapłaty, a gdym przysięgi odmówił, zadekretował sąd więzienie tak długie, dopóki nie złożę przysięgi. Wyznaczone kary za przestępstwa praw majowych odsiedziałem w więzieniach, ale za koszta więzienia nie chciałem wystawić się na marną śmierć w nieograniczonej czasem kaźni, chcąc jeszcze nadal służyć społeczeństwu. Wybawił mnie z tej imprezy kochany hrabia Emil Szoldrski, który bez mej wiedzy sądowi przesłał koszta, wskutek czego sąd odwołał wyznaczony już termin, w którym miałem być aresztowany i do więzienia wtrącony.

Lecz te wszystkie powyższe podarki nie wyczerpały prokuratora i sądu szczodrobliwości; uchwalono dać mi jeszcze paszport na drogę, który

ogłosił Dziennik Poznański w słowach: „Dnia 22 grudnia wręczył komisarz obwodowy z Jutrosina księdzu Grabowskiemu, wikaryuszowi z Chłudowa, dekret banicyi, wzbraniający mu pobytu w powiatach Poznańskim i Obornickim i w mieście Poznaniu“. Co prawda z wyjątkiem mojej obrony pierwszej w sądzie obwodowym i drugiej w apelacyjnym sądzie, nie szczędziłem sądowi grzeczności, spodziewając się, że chociaż nie dostanę go na swoją stronę, to przynajmniej go pociągnę choć trochę ku sobie, lecz po drugim terminie w sądzie okręgowym przekonał się, że wszystko stracone, zmienić musiałem ton we wszystkich następnych terminach i nazywać prawdę po imieniu.

Na pierwsze dwa terminy stawałem osobiście i broniłem się sam; a na następne, ponieważ szkoda było czasu i atłasu, nie stawiałem się, lecz przesłałem sądowi piśmienne obrony.

Przyszedłszy w Osieku nieco do sił, a chcąc być bliżej matki, mieszkającej we Wronkach, postarałem się w odległym od Wronek tylko o jedna milę drogi Wróblewie u Ordynata Węsiersko-Kwileckiego o urząd bibliotekarza. W dwóch latach około 6 tysięcy tomów porozrzucanych ułożyłem od nowa podług działów literatury tak, że za pomocą katalogu można w jednej minucie znaleźć pożądaną książkę. Miałem też zamiar urządzić u siebie pensjonat we Wronkach dla chłopców, celem przygotowania ich do gimnazjum, lecz nie łatwo postarać się było można w takim miasteczku o pensyonarzy.

Natomiast miałem u siebie we Wronkach młodziuchnego syna p. Kurnatowskiego, dyrektora zakładu w Owińskach, Wiesława, którego przysposobałem do gimnazjum; poznałem znowu tę rodzinę za pośrednictwem księdza proboszcza z Owińsk, u którego też często bywałem jako wikaryusz z Chłudowa. Po tych próbach samopomocy do zarobienia sobie na kawałek chleba bez narzucenia się nikomu, zateknąłem za ukochanym Osiekiem i wróciłem do niego, jakby na ochłodę do raju. O jakże mi tam było rozkosznie: te same, co przedtem zastałem tam serca, lecz nieszczęście chodziło w trop za mną. Wkrótce umiera uwielbiona, najdroższa druga matka moja i dobrodziejka, hrabina Amelia Szoldrska — nie mogłem tam z żalu dłużej pozostać, byłem w Gołębinie na jej pogrzebie i opłakałem ją w osobnej Elegii...

## ROZDZIAŁ VIII.

### Na schyłku walki kulturalnej.

Tymczasem nadszedł rok 1880; walka kulturalna poczęła się zjadać sama przez siebie, przez własną niemoc. Z drugiej strony genialni mówcy nasi w sejmie coraz silniejsze przypuszczali szturmy, tak, iż zmieniono prawo majowe o tyle, że veto, czyli zakaz ustanawiania księży na nowych posadach bez opowiedzenia się rządowi pozostawiono tylko co do posad proboszczowskich, a zwolniono od tego posady podrzędne, wikaryuszowskie. I to był początek końca.

Na mocy tego zaproponował mi X. administrator Maryański, który ze względu na słabość mego zdrowia nie chciał mnie posyłać dawniej na stanowiska, narażające na gonitwy po rowach przez żandarmów, abym teraz wrócił na dawne miejsce do Chłudowa. Poszedłem z radością — zawiadomiłem o dniu i godzinie mego przybycia parafian, którzy wyszli naprzeciwko mnie kilometr poza wieś z chorągwiami i procesjonalnie wprowadzili do kościoła wśród dzwonów odgłosu. Lecz cóż dalej? Tak, jak

zostałem plebanie wtenczas, gdy wracałem z odwiedzin mej matki zamkniętą, a ojczyma mego i garnki moje wyrzucone na dwórce, tak i tym razem zastałem mieszkających w plebanii komorników dziedzica Treskowa i tańczące na sznurze przed plebanią wyprane łaszki dziecięce. Lecz znalazła się na to, dzięki Bogu, rada. Jak już wyżej wspomniałem, byłem od samego początku posłany przez władzę duchowną nie tylko jako wikaryusz dla Chłudowa, lecz zarazem i dla sąsiedniej parafii Maniewa, ponieważ tam nie było ani proboszcza, ani kościoła, ani mieszkania dla księdza. A teraz, gdy powróciłem, zastałem wybudowany już nowy kościół i plebanie w Maniewie, dokąd mnie natychmiast zawieziono. O urządzeniu się w domu, ani o sprowadzeniu do siebie matki, mowy być nie mogło; mury były jeszcze całkiem świeże, ściany nawet nie pobielone, wilgotne i duszne powietrze, na podszarpane moje płuca mordercze. W takim położeniu kuchni własnej urządzić nie mogłem w maleńkiej wiosce, w znacznej odległości od miasta, nie mogąc ani koniecznej żywności nabyć ani nawet posługi znaleźć. Wiec gotowałem sobie na maszynkach kawę, herbatę, bulion. Zresztą miałem w Maniewie dwa znaczne domy (pp. Gniatkiewiczów i Dobrowolskich), w których bardzo częstym bywałem gościem, tak jak przy pierwszym pobycie moim w Chłudowie. Nadeszła straszna zima. Ściany pokoi przybrały wygląd szklistych lodowych tapetów. Ogrzewałem tylko jeden pokój, sam w piecu paliłem, ponieważ kamerdyner mój,

ministrant służący mi do mszy, będąc uczniem szkolnym, nie miał tyle czasu. Pokój mój ogrzewał się najwyżej do 5 lub 6 stopni Reaumura. Od zimna nieraz febra mnie trzęsła — lecz miałem na to lekarstwo. W domu było 5 obszernych pokoi tak zbudowanych, że można je bez przerwy przebiegać wkoło. Więc, gdy drząc z zimna zapaściłem się w taniec i kilkadziesiąt razy przebiegłem wszystkie dokoła, wyśpiwując przytem wesoło, że aż na drodze odbijało się echo, febra bez apteki zginęła. I tak w czasie całej walki kulturalnej czułem się tak szczęśliwym i wesołym, jak nigdy ani przedtem ani potem w mem życiu.

Jeszcze rok nie dobiegł końca, a wraz z nim skończyła się sielanka. Już przy pierwszym pobycie moim w Chłudowie zarządził landrat areszt mojej pensyi wikaryuszowskiej, zakazawszy dziedzicowi Chłudowa p. Treskow wypłacać mi pensję 200 talarów i 4' sążnie drzewa (Temporalienperre z dnia 5 grudnia 1873). Pozostałem więc bez grosza. Tylko zacny proboszcz Ludwik Ziętkiewicz z Obiezierza, jako komendarz maniewskiego probostwa, płacił mi drobna cząstkę z dochodów tegoż probostwa. Wskutek więc braku środków na utrzymanie dla wikaryusza w Maniewie i Chłudowie, posłał mnie administrator dyecezyi do Łodzi po śmierci tamtejszego proboszcza a stamtąd na ostatnią staćcę do Niepartu.

Nadszedł tymczasem rok 1886, koniec walki kulturalnej. Sprzykrzyły się w sejmie długotrwałe debaty, słabła coraz bardziej praw majowych obrona, bo broniono tego, co się obronić nie dało i niegodne

było obrony, wzrastał niesmak wstrętnej sprawy coraz bardziej wśród ludu, a przedewszystkiem sprawa ta przy narodzeniu swoim niosła zaród swej śmierci sromotnej, i sprawdziły się na niej słowa Pisma św.: „Złe drzewo nie może rodzić dobrych owoców“. Więc skapitulować musiał wszechwładny kanclerz Bismark — poszedł do Kanossy — walkę kulturalną wygrał Kościół — zwycięstwo odniosła prawda nad ciemnością, potęga ducha nad brutalną przemocą.

I nie mogło państwo większego sobie zadać ciosu przez walkę kulturalną ponad fatalne jej skutki. Kościół zajaśniał w całej swej potędze — rozbudził się duch uspiiony ludu — rosa ożywcza spadła na uschłe od trosk doczesnych dusze. Odżył duch katolicki, spoteźniała wiara nie tylko w polskich dzielnicach, lecz i w innych krajach. Cóż to za okropną klęskę zadało sobie państwo na Śląsku. Od kilku wieków zamykały bramy germanizmu przystęp polskości do rdzennie polskiej Piastów dzielnicy, przez co usypiał nie tylko narodowy duch, lecz i z nim łącząca się wiara ojców. I cóż się to stało? Oto jakby laską czarodziejską na rozcież otwarły się bramy; otworzyła je walka kulturalna, odżył, powstał z uspienia katolicki lud, przypomniał sobie swój ród — otworzyły się jego oczy i przeląkł się poznawszy, dokąd go wiodło uspienie.... ostatecznie do utraty wiary. Ocknął się i zmartwychwstaje. O, nie sprawiły tego, na co się mylnie skarży państwo, jakieś mniemane wielkopolskie agitacye, sprawiła to walka kulturalna.



By uzupełnić obraz walki kulturalnej, wspomnijmy na uwieszenie naszego Arcypasterza Ledóchowskiego i wywiezienie go do kaźni w Ostrowie w dniu 3 lutego 1874 r. za niezastosowanie się do praw majowych, za obsadzanie posad duchownych bez przyzwolenia rządu i za protesty przeciwko wykładowi w szkołach religii w niemieckim języku. Wspomnijmy o męczeństwie licznych szeregów kapłanów, począwszy od X. Biskupa Janiszewskiego, kanoników, dziekanów, którzy znosili mężnie tułactwo, zapelniali więzienia za sprawę Kościoła. A wreszcie niech zabołeją serca nasze wspomnieniem o odstępcach wśród walki od Kościoła i wiary. Dzięki Bogu, że tylko mała ich liczba odstąpiła od Bożych sztandarów — w obydwóch dyecezyach Księstwa Poznańskiego było ich około dziesięciu, między nimi Brenk, na którego kapłan do tego upoważniony rzucił klątwę, wykluczając go ze zgromadzenia wiernych, w Kamionnie z ambony, wobec zgromadzonego ludu wśród wzruszających ceremonii, łamiąc na dwoje świecę zapaloną i zrzucając ją pod ambonę, — dalej Nowacki, który skończył na obrzydłą chorobę Heroda, — Kubeczak, Talaczyński; — z liczby odstępców nawróciło się dwóch — wszyscy inni zginęli.

### Domówienie.

Po skończonej walce kulturalnej wstąpił na stolicę Arcybiskupią w Poznaniu X. Dinder, najzacniejszy kapłan i pod pewnym względem męczennik, ponieważ zmuszono go do przyjęcia urzędu, do którego czuł się niepowołanym. Poszedłem do niego z prośbą o przekazanie jakiej posady — odesłał mnie w tej sprawie do X. Oficyała Likowskiego, który mnie zapytał, czy mam od kogo prezentę. Odpowiedziałem, że nie miałem sposobności podczas walki kulturalnej o nią się postarać. Zapytał więc, czy złożyłem egzamin proboszczowski. Odpowiedziałem, że podczas walki kulturalnej egzaminów takich nie było. Na to rzecze X. Oficyał: To nie możemy księdzu nic dać, ale będzie egzamin za cztery tygodnie, to może ksiądz nań przybyć. A ja mu na to: „Ja wśród walki kulturalnej nie miałem czasu do przysposobienia się na egzamin z całej teologii, a w czterech tygodniach przysposobić się niepodobna“. Na to odrzekł Oficyał: „My wiemy, że ksiądz w 4 tygodniach przysposobić się możesz“. Cóż miałem począć. Cztery tygodnie w domu matki mojej ślecząłem dnie i noce ledwie żyjący ze słabo-

ści nad księgami. Poszedłem na egzamin, złożyłem dobrze. Idę do Oficynała spytać się o posadę — i otrzymuję odpowiedź: „Przeznaczyliśmy księdzu Długą Goślinę“. Otrzymałem marne probostwo po 29 latach kapłaństwa i po tułactwie przez lat trzynaście w walce kulturalnej: plebanię z paców glinianych, 200 talarów dzierżawy z roli, tyleż z legatów mszalnych, których odprawienie zabierało prawie wszystkie dni w roku i około 50 talarów akcydensu z maleńkiej parafii, składającej się prawie z samych komorników dominialnych. Byłem tam przez 6½ roku i byłbym tam do dziś, gdyby nie X. Arcypasterz Stablewski, który zaraz po wstąpieniu swoim na stolicę Prymasów dał mi probostwo w Solcu, na którym spędziłem 18 lat aż do roku 1911. W tym to roku podziękowałem za probostwo i po 50-letnim jubileuszu kapłańskim a 53 latach kapłaństwa otrzymałem żadaną emeryturę.

Na większą chwałę Bogu i na pożytek potomności pisałem w kwietniu 1917 w zakładzie Sióstr Miłosierdzia w Chełmnie Pr. Zachod.

X. Józef Grabowski.



114983